O XIX Wojewódzkiej Konferencji PZPR w Lublinie - str. 2 i 3

ROK ZAŁOŻENIA 1933

kamena

LUBLIN 5 VII 1981 NR 14 (734) DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY PL ISSN 0137-7108 CENA 7 ZŁ

ZNP - czyli Zrozumieć Nauczycielskie Potrzeby

Marian Janusz Kawalko

KIEDY delegaci na XXXII Krajowy Zjazd Związku Nauczycielstwa Polskiego podjęli 24 IV br. decyzję zawieszenia obrad na 48 dni, okazało się, iż oto pojawiła się zupełnie odmienna forma protestu związkowego. Forma szlachetna przecież, równie stanowcza jak strajk, a tę nad nim mająca przewagę, że eliminująca konieczność przerwania zajęć w szkołach.

I to był pierwszy sukces tego bezprecedensowego Zjazdu.

Obie zainteresowane strony, tj. ZNP — jako centrala związkowa nauczycieli — oraz resort oświaty i wychowania, bardzo pracowicie wykorzystały okres przerwy w obradach.

Związkowcy mianowicie przeprowadzili szereg rozmów z przedstawicielami władz PRL, przedstawiając aktualnie trudną sytuację w oświacie oraz upominając się o nadanie zawodowi pedagoga należytej rangi. Rozmowy te miały również istotne znaczenie propagandowe, udowodniły bowiem, iż Związek Nauczycielstwa Polskiego ma już za sobą okres destabilizacji, że podejmuje, skuteczniej niż poprzednio, obronę słusznych interesów całego stanu nauczycielskiego. Dla władz związkowych różnych szczebli, a także szeregowych członków ZNP, był to zastrzyk nader wzmacniający.

Dokończenie na str. 10

Filmowane na gorąco

ROZMOWA Z BOLESŁAWEM MICHAŁKIEM

MIROSŁAW DERECKI: — Tegoroczny Ogólnopolski Festiwal Filmów Krótkometrażowych w Krakowie został określony przez prof. Jerzego Toeplitza — przewodniczącego jury — mianem „festiwalu wręcz historycznego, godnego czasów, w których obecnie żyjemy".

Grand Prix w postaci „Złotego Lajkonika" przyznano Wojciechowi Wiszniewskiemu za film „Elementarz"; „Srebrne Lajkoniki" otrzymali Tomasz Lengren i Marian Terlecki za „Pomnik" oraz Zygmunt Duś za „Ścinki 1970—1981"; „Brązowe Lajkoniki" przypadły Marcelowi Łozińskiemu za filmy „Próba mikrofonu" i „Egzamin dojrzałości" oraz Bohdanowi Kosińskiemu za „Narodziny Solidarności". W kategorii filmu animowanego Nagrodę Główną otrzymał Zbigniew Rybczyński za „Tango".

Wspomniane tutaj nagrody — a był przecież jeszcze szereg innych — oddają sprawiedliwość nie tylko randze podejmowanych przez twórców tematów, walorom artystycznym zaprezentowanych przez nich dzieł, ale także — konsekwentnej postawie zajmowanej od szeregu lat przez Wiszniewskiego, Łozińskiego, Kosińskiego, Kamieńską, Kieślowskiego i wielu ich kolegów. Przecież wymienione filmy mieszczą się w kategorii tzw. „półkowników"; jedne istotnie, przelazały długo „na półkach", drugie, te najnowsze — jak „Pomnik" czy „Ścinki" — z pewnością by tam trafiły jeszcze rok temu.

Stosunkowo niedawno mówiło się o schyłku polskiego „dokumentu", a tymczasem objawia się on z tak ogromną siłą. I to nie tylko na forum ogólnopolskim, ale także międzynarodowym. Na tegorocznym festiwalu w Oberhausen główne nagrody przypadły „Stolarzowi" Wojciecha Wiszniewskiego i „Tangu" Zbigniewa Rybczyńskiego. Na Międzynarodowym Festiwalu Filmów Krótkometrażowych w Krakowie — który odbył się tuż po festiwalu ogólnopolskim — znowu Grand Prix dla filmu polskiego; otrzymały go „Robotnice" Ireny Kamieńskiej. Jak pan, jako krytyk, a także przewodniczący jury tegorocznego Międzynarodowego Festiwalu Filmów Krótkometrażowych w Krakowie ocenia ten „wybitch" polskiego filmu dokumentalnego; jak się rysuje ten film na tle światowego „krótkiego metrażu"?

BOLESŁAW MICHAŁEK: — W połowie lat siedemdziesiątych stale toczyła się dyskusja na temat polskiego filmu dokumentalnego, na temat „szkoły" polskiego dokumentu. Miał on wspaniałe tradycje, sięgające jeszcze lat pięćdziesiątych, tradycje Bossaka, Karabasza, Łomnickiego, Hoffmana i Skórzewskiego. Wtedy, w latach siedemdziesiątych, w warszawskiej Wytwórni Filmów Dokumentalnych działało młodsze — dziś już średnie — pokolenie dokumentalistów — Kosiński, Kamieńska, Gryczelowska, Kieślowski, Łoziński i inni. Wielu ludzi sądziło wtedy, że film dokumentalny się kończy, umiera. Wszystko już zostało opisane, wszystkie formy zapisu wypróbowane i zużyte, a

Dokończenie na str. 4

Konsumpcja na wsi

Maria Świętochowska

NA TEMAT poziomu konsumpcji wśród rodzin rolniczych wykształciły się różne poglądy. Poważna ich część przybrała formę mitu o panującym na wsi dobrobycie. Poglądy te powstały na podłożu nielicznych przykładów i przejaskrawień i niewiele mają wspólnego z istniejącą rzeczywistością. Gdyby poziom konsumpcji na wsi był tak wysoki, to nie mielibyśmy problemów z szukaniem następców dla gospodarstw. Tymczasem masowa ucieczka młodzieży ze wsi spowodowała, że znaczna część gospodarstw prowadzonych przez rolników w podeszłym wieku nie ma naturalnych spadkobierców. Jest to dowód pośredni, zbijający tezę o dobrobycie gospodarstw indywidualnych.

Ocenę poziomu spożycia na wsi, a ściślej: rolników indywidualnych, można przeprowadzić w sposób bezpośredni, porównując wielkość wydatków na konsumpcję wśród różnych grup społeczno-zawodowych, spożycie poszczególnych artykułów wyrażone w jednostkach naturalnych i wyposażenie gospodarstw domowych w dobra konsumpcyjne wielokrotnego użytku. Informacji na te tematy dostarczają systematyczne zapisy prowadzone przez różnego typu gospodarstwa domowe pod patronatem Departamentu Badania Warunków Bytu Głównego Urzędu Statystycznego oraz Instytutu Ekonomiki Rolnej. W tym ostatnim

Dokończenie na str. 11

Fot. Waldemar Stępień

NA EKSPANS

Narobiliśmy długów – i co dalej?

W TZW. analogicznym okresie ubiegłego roku najpilniej strzeżoną tajemnicą państwową była wysokość naszego twardodewizowego zadłużenia. Niemniej wszyscy mogli tajemnicę tę wyczytać w zachodnich gazetach lub wyszacować z Rocznika Statystycznego. Czasem nawet Ważna Osobistość na spotkaniu — zniżając głos do szeptu — wymieniała kwotę, ale zaraz, już głośniej, dodawała: „Ta informacja w żadnym wypadku nie do druku". Albowiem — generalnie było dobrze. Obowiązywała zasada, żeby ciężko choremu na zapalenie płuc mówić, iż ma lekkie przeziębienie. W ramach kuracji tłuczono termometr. Mógł się chory pobawić kulkami rtęci i zaraz było mu weselej.

Nie można jednak zbyt długo młodzieży wmawiać, że dzieci znajduje się w kapuście. W pewnym wieku bowiem długość przechodzi w jakość i tajemnica się wydaje. Dlatego, choć wysokość zadłużenia była tajemnicą, problem handlu zagranicznego miał mobilizować nas wszystkich do jeszcze wydajniejszej i efektywniejszej... Dla dodania otuchy mówiono, że Polska jest dłużnikiem wiarygodnym, zawsze w porę płaciła i będzie płacić. Pewien prominent nawet nieco się zagalopował i powiedział, że będziemy krwią pluć i płacić. Do dzisiaj jest niejasne, kto miał pluć, a kto płacić. Żeby zmobilizować nas jeszcze bardziej do bycia wiarygodnym dłużnikiem, dokonano korekty planu, zwiększając eksport i zmniejszając import. O zmianie tej życzliwy nam ekonomista angielski Richard Portes napisał: „Zrewidowane plany na 1980 r., które windowały do 27 proc. wzrost wolnodewizowego eksportu, były absurdem [...], przekroczona została granica oddzielająca zadania, przy istniejących ograniczeniach, niewykonalne od szkodliwych".

Żeby te napięte zadania wykonać, uruchomiono szereg dodatkowych środków. M.in. w maju ub. r. podjęto uchwałę w sprawie wzmożenia pracy ideowo-wychowawczej w handlu zagranicznym. Fragment uchwały warto przytoczyć (za omówieniem w: „Handel Zagraniczny" nr 5/6 z ub. r.): „Uchwała wskazała na istotne cele zintensyfikowania pracy ideowo-wychowawczej. Na pierwszym miejscu jako cel tej działalności wymienia się kształtowanie postaw patriotycznych, które wyrażają się poczuciem godności narodowej, co jest istotnym czynnikiem budzącym szacunek dla socjalistycznej Polski w innych krajach. [...] Oddziaływanie ideowo-wychowawcze powinno być realizowane szerokim frontem, na którym zespalać się będzie działalność organizacji partyjnych, organów samorządu robotniczego, organizacji związkowych i młodzieżowych. W tym celu organizacje te zostały zobowiązane do opracowania programów pracy ideowo-wychowawczej".

Swoją drogą niezależnie od swych następstw — słowa te brzmią dzisiaj nieodparcie śmiesznie. Pomieszanie kupiectwa z frazeologią ideologiczną daje bardziej rozweselający koktail niż spirytus i szampan. Wystarczy wyobrazić sobie Franciszka I, który nadaje Rotschildowi tytuł barona nie za zyski, a za to, że szerokim frontem wcielał. Może i mają rację ci, którzy twierdzą, że gdyby się dało Jaroszewicza przeforsować w miejsce Reagana, to Układ Warszawski wiele zaoszczędziłby na wydatkach zbrojeniowych.

Ale wypominam te pompatyczności nie tylko dlatego, żeby w tych smutnych czasach było trochę weselej. Za to samo przyszło nam już w po wrześniu zapłacić ciężkie miliony dolarów. Gdy wiadomo było wszystkim (z wyjątkiem osób kierującym handlem zagranicznym), że gospodarka polska nie jest w stanie podołać spłatom: kredytów, odsetek i jeszcze zarobić na jaki taki import, zaczęto nawoływać do rokowań o moratorium. Nawoływali: Kurowski i Bratkowski, ekonomiści i dziennikarze, tylko osoby oficjalne ze stoickim spokojem twierdziły: „Zwrócenie się o moratorium jest poniżej naszej godności, a poza tym mogłoby to podważyć zaufanie do nas jako do wiarygodnego dłużnika".

W efekcie — moratorium uzyskaliśmy w maju, tracąc kilka bezcennych miesięcy. Nie rozwiązało to wszystkich naszych bieżących problemów. Ale o tym w drugim odcinku pod tytułem „Moratorium — i co dalej?" (Już w następnym numerze „Kameny"!)

emzet

P.S. W poprzednim numerze błędnie sugerowałem, że CODALEJE wywodzą się od tytułu powieści Fallady. W rzeczywistości są znacznie starsze i mają rodzime dziennikarskie pochodzenie. Tytułu „Co dalej?" używał już w 1890 roku Prus w swoich KRONIKACH drukowanych w „Kurierze Codziennym".

z notatnika

28.VI. Nie będzie to ani sprawozdanie z przebiegu XIX Wojewódzkiej Konferencji Sprawozdawczo-Wyborczej w Lublinie ani felieton na jej temat. Dla niezorientowanego bliżej w „kuchni kamenowej" czytelnika należy się małe wprowadzenie: bieżący numer pisma, zgodnie z harmonogramem druku, zamknęliśmy ponad tydzień temu blokując jedynie całą stronę trzecią i część drugiej. To miejsce mam właśnie teraz zapełnić.

Jest godzina szesnasta. Tekst, nad którym pracuję, musi być w drukarni o szóstej rano. Niestety, nie mogę stwierdzić, abym czuł się w formie: ogarnia mnie zwykłe ludzkie zmęczenie.

Konferencja rozpoczęła się przedwczoraj, w piątek, o dziewiątej rano. Pierwszy dzień zakończył się półtorej godziny po północy. Wznowienie obrad nastąpiło w sobotę o dziesiątej. Finał — dziś nad ranem, przed szóstą.

Przysłuchiwałem się obradom non stop. Teraz piętrzy się przede mną wielki stos notatek i dokumentów. Na samą selekcję materiałów przydałoby się dobrych kilka godzin!

To, o czym wyżej, proszę potraktować jako moje usprawiedliwienie, że poniższy tekst będzie właśnie taki rozchwiany, miejscami z pewnością chaotyczny i na pewno bardzo osobisty. Piszę na gorąco i nie stać mnie jeszcze na chłodną refleksję.

Uczestniczyłem w dniach 12—13 grudnia 1956 roku w obradach VI Wojewódzkiej Konferencji Sprawozdawczo - Wyborczej, a także w XIII Konferencji, która odbyła się 29—30 marca 1971 roku. Wymieniam te dwie, bo odbywały się one prawie bezpośrednio po Październiku '56 i Grudniu '70. Mam więc pewną skalę porównawczą. Wówczas też toczyły się bardzo burzliwe dyskusje, temperatura ich jednak nie dorównywała tej, w jakiej żyjemy dzisiaj. Ja sam, zwłaszcza w 1956 roku, miałem małe doświadczenie — i życiowe i polityczne. Dlatego mogę zrozumieć nawet intencje tych młodych działaczy, którzy próbują iść przez świat przebojem, ale zrozumieć to nie znaczy, bym miał równać do ich szeregów. Krzykiem, waleniem na oślep nie zbuduje się niczego, a w dodatku można zniszczyć to, co jest.

Jak bym krótko scharakteryzował przebieg ostatniej Konferencji, która była prawdziwym maratonem i stanowiła zjawisko bezprecedensowe? Dla mnie miała ona dwa oblicza. W jej pierwszej, zasadniczej części toczyła się dyskusja nad sprawami proceduralnymi — i tutaj, w zasadzie, większych spięć nie było; nad sprawami dotyczącymi szeroko pojętej demokratyzacji naszego życia, działaniami partii i administracji w klimacie odnowy socjalistycznej — i tutaj również, aczkolwiek każdy reprezentował szczerze swoje poglądy, nie pogrążano się w odmętach negacji i czarnowidztwa, natomiast szukano dróg wyjścia z kryzysu. Również sam wybór nowych władz partyjnych jak i delegatów na Zjazd przebiegał w atmosferze powagi, aczkolwiek wybuch demokracji zawsze niesie za sobą niebezpieczeństwo pójścia na żywioł. Przypadków nie da się uniknąć, zwłaszcza wówczas, gdy prezentacja kandydatów jest dość powierzchowna. Towarzysz X może być dobrze znany w swojej podstawowej organizacji partyjnej, ale jego nazwisko niewiele mówi innym delegatom. Decyduje przypadek. Ewentualnie nie podoba się instytucja, w której pracuje, i wówczas wielu kreśli nazwisko niemal automatycznie, choć człowiek nie może przecież odpowiadać za ewentualne cudze błędy. ... przepadł jeden z kandydatów ... członka KW. Kiedy jednak przemówił, zaprezentował swe poglądy, które spotkały się z aplauzem sali, zdecydowaną większością głosów wybrano go jako delegata na Zjazd.

O drugim obliczu Konferencji mogę mówić wówczas, gdy przyszło do akceptacji opracowanego uprzednio przez grupę delegatów wchodzących w skład komisji programowej projektu stanowiska Konferencji w sprawie węzłowych zagadnień na IX Nadzwyczajny Zjazd PZPR. Wielu obecnych wzburzył pierwszy rozdział projektu dotyczący przyczyn powstałego kryzysu. Do głosu doszły emocje, których w żaden sposób nie mógł opanować stół prezydialny. (A tak na marginesie: dopiero teraz, w obecnym klimacie, okazuje się, jak ważna jest funkcja przewodniczących obrad — oni bowiem, i tylko oni, za tym stołem prezydialnym siedzieli. Nie chcę pochopnie oceniać, ale wydaje mi się, że z trudnego zadania wywiązali się należycie jedynie tow. D. Krulicka-Klecha i tow. Z. Piech. Sześcioosobowy skład przewodniczących nie zawsze, co jest zrozumiałe, był jednak w komplecie. W przyszłości trzeba zadbać o najwłaściwszy dobór osób na to, bądź co bądź, odpowiedzialne stanowisko. Potrzebna tu jest energia, rozwaga, takt. I nieprzeciętna inteligencja — to jasne!).

Padały różne propozycje. Na przykład taka, aby projekt przedyskutować na plenarnych posiedzeniach komitetów niższego szczebla i zebrać się za kilka dni ponownie. (Pomyślałem wtedy: towarzysze kochani, ile się na tym straci energii, czasu i partyjnych złotówek!). Ostatecznie przegłosowano, aby grupa delegatów, opracowujących dokument, poszerzona teraz o nowe, wybrane z sali, osoby zajęła się przeredagowaniem spornych punktów. Było to wyjście najlepsze. Po trzech godzinach opracowano zmienioną wersję projektu choć przedtem były głosy, by projekt w całości odrzucić. Wśród delegatów, którzy tę nową wersję opracowywali, był płk Adam Kudlicki. On też przed niedzielnym świtem (o godzinie trzeciej trzydzieści) „objął władzę" za stołem prezydialnym i, trzeba powiedzieć, radził sobie dobrze, aczkolwiek pomagało mu w tym widoczne znużenie sali. Nie mniej nowa wersja również nie została przyjęta bezkrytycznie zwłaszcza te tezy, które można było interpretować dwuznacznie.

Demokracji, jaka się objawiła szczególnie w czasie dyskusji nad projektem stanowiska Konferencji w sprawie węzłowych zagadnień na Nadzwyczajny Zjazd PZPR, mogłaby pozazdrościć najbardziej d e m o k r a t y c z n a partia w najbardziej d e m o k r a t y c z n y m kraju. Nie dałbym jednak głowy, czy absolutnie wszyscy delegaci do końca dokładnie wiedzieli, o co tu toczy się walka. A walka toczyła się po prostu o to, by partia bez cienia wątpliwości prezentowała swój marksistowsko-leninowski charakter.

Nie ma co owijać w bawełnę: skład delegatów na Konferencję, wybranych, prawda, w demokratycznych wyborach, nie odzwierciedlał składu socjalnego wojewódzkiej organizacji partyjnej. Słyszałem, że robotnicy chętnie powierzają mandaty technikom i inżynierom, a nawet dyrektorom, którzy ponoć potrafią się lepiej wysłowić, ale jest to teza mocno dyskusyjna. Na Konferencji okazało się zresztą, że ta mała garstka (niecała jedna czwarta delegatów!!!) robotników od produkcji, chłopów od pługa (czy traktora) potrafi dobrze dać w kość nam, inteligentom, a może ściślej tym inteligentom, którzy nagle ubrali się w togi zażartych obrońców uciśnionych (a swoją drogą obserwuję od pewnego czasu niektórych ludzi i podziwiam ich metamorfozę, umiejętność szybkiego przystosowywania się do sytuacji — oni się dobrze czują i wówczas, kiedy wieją wiatry wschodnie i wówczas, kiedy zachodnie...). Kiedy jeden z młodych naukowców oświadczył, że w 1968 roku nastąpił upadek nauki, usłyszał ripostę, iż nastąpił, ale upadek... pseudonaukowców. (?) Oburzyło to później innego pracownika naukowego. Nastroje antyinteligenckie? Nie! Gdy bowiem przemówił prof. dr Zdzisław Cackowski, nie delegat zresztą, który o sprawach bardzo poważnych mówił bardzo klarownie, zgodnie z powszechnym odczuciem większości, otrzymał lawinę zasłużonych oklasków. Zdrowy instynkt klasowy dobrze potrafi odróżniać kolory!

Nie piszę sprawozdania z Konferencji, ale przecież muszę zawrzeć i nieco informacji.

Jak już wiadomo, I sekretarzem KW PZPR ponownie został tow. Władysław Kruk. Zgłaszano kontrkandydatów, ale ci rezygnowali ze stawania do rywalizacji. Ostatecznie tow. Kruk otrzymał 225 głosów na 299 możliwych. Kandydował z rekomendacji tow. Stanisława Kani, przekazanej ustami obecnego na Konferencji tow. Mieczysława Jagielskiego. Przed tą najwyższą rekomendacją była jednak rekomendacja niższa: kandydaturę tow. Kruka zaproponował w imieniu delegatów z Lublina I sekretarz KM tow. A. Męciński. Tow. Męciński podkreślił, że tow. Kruk w swej działalności zawsze kierował się obowiązkiem wysłuchiwania opinii szerokiego aktywu, a także i ludzi bezpartyjnych (na marginesie: kiedy radio podało o wybraniu tow. Kruka na stanowisko I sekretarza KW, zadzwoniła do mojej żony p. Maria Bechczyc - Rudnicka, seniorka lubelskiego świata kultury, dzieląc się swą wielką radością — znamienne to chyba?). „Jest tow. Kruk — stwierdził tow. Męciński — człowiekiem ogromnej kultury osobistej, która od wielu lat zjednuje mu uznanie i zaufanie ludzi. Od pierwszych dni zaistniałego protestu w miesiącu lipcu i sierpniu ub.r. tow. Kruk trafnie oceniał ten protest. Dawał temu wyraz na kolejnych posiedzeniach plenarnych KC. Zdecydowanie opowiadał się i nadal stoi na gruncie politycznego rozwiązywania wszelkich problemów społecznych. Postawa tow. Kruka zyskała mu uznanie w oczach członków partii, ludzi bezpartyjnych nie tylko w naszym regionie, ale i w całym kraju. Efektem rozważnych działań i przyjętej linii odnowy jest to, że region nasz ustrzegł się nieprzemyślanych konfliktów społecznych typu Bydgoszcz, Bielsko czy innych, które miały miejsce w kraju. Uważamy, że działacz polityczny tego typu powinien być umieszczony na liście kandydatów do władz oraz delegatów na IX Zjazd".

Mandat delegata na Zjazd tow. Kruk uzyskał również. I to w pierwszej turze głosowania. Będzie się jednak musiał zmienić cały skład Sekretariatu KW, ponieważ pozostali dotychczasowi sekretarze zrezygnowali bądź przegrali na tej Konferencji lub na innych, niższych, i nie weszli w skład nowego KW spośród członków którego będzie się szukać nowych sekretarzy. Żałuję, o czym, jako gość, mówiłem na Konferencji, że w wyborach delegatów na Konferencję Wojewódzką podczas Konferencji Miejskiej przepadła kandydatura sekretarza propagandy, tow. Ireneusza Cabana, współautora monografii o Armii Krajowej na Lubelszczyźnie, laureata nagrody „Polityki", rasowego historyka dziejów najnowszych i działacza, który nie tylko, że ma swoje poglądy, ale umie konsekwentnie ich bronić. Irek nie zginie, ale t a k i e g o sekretarza propagandy długo jeszcze w Lublinie mieć nie będziemy (piszę to, choć wiem, że z góry się „narażam" temu, kto w piątek zajmie jego miejsce w lubelskim Białym Domu; żeby się zaasekurować dodam, iż nie będę się gniewał, jeśli tym razem pobłądziłem!).

Delegatem na Zjazd został również tow. Paweł Dąbek, żywa historia okupacyjnej i powojennej Lubelszczyzny. Ale tym razem człowiek, który był delegatem na I i II Zjazd PPR, na I, III, IV, V, VI, VII i VIII Zjazdy PZPR, nie przeszedł bez walki wyborczej. Delegat z Kraśnika powiedział z trybuny pod adresem tych, którzy skreślają, że to jest brak kultury politycznej. Czy właśnie brak kultury politycznej... Hmm, można dyskutować. Osobiście zawsze głosowałbym na tow. Pawła Dąbka, bo kochany Paweł to już nie Osoba, ale Symbol, wzór patriotyzmu, uczciwości, prostoty, most między dawnymi a nowymi laty. Nie piszę więcej, bo ktoś mnie jeszcze posądzi o to, przeciwko czemu na Konferencji sam występowałem — o lizusostwo. Ten ktoś byłby jednak kompletnym głupkiem. Nigdy nie zapomnę tej życzliwości, jaką Paweł okazywał memu Ojcu, jak troszczył się o jego twórczość, jakie później okazywał mi współczucie w tych tragicznych dla mnie dniach, kiedy Ojca zabrakło.

Wśród delegatów było dużo ludzi młodych. Może właśnie oni kreślili? Paweł, dziękując później za wybór, powiedział refleksyjnie: „Każda młodość co dzień się starzeje" i dodał, że naprawdę walczył o wybór, ale nie chodziło mu o własną osobę, ale o to, aby choć jeden weteran walki o wyzwolenie Lubelszczyzny znalazł się wśród delegatów. No i stało się!

Mandatu na Zjazd nie otrzymał jednak przybyły z Warszawy tow. Stanisław Kukuryka, lublinianin (Zemborzyce) z urodzenia, absolwent tutejszej uczelni, inicjator budowy LSM, którego później porwano do Warszawy. Sądzę, że wszyscy delegaci-mieszkańcy LSM głosowali na niego, ale to jednak nie wystarczyło. Straszne czasy przyszły na działaczy! Tow. Kukuryka powinien jednak wiedzieć, że i tak ma w Lublinie wielu serdecznych przyjaciół i nie wolno mu o naszym mieście zapominać. No i nauka na przyszłość: gdy się chce zdobywać głosy, trzeba częściej odwiedzać i Lublin i wyborców!

Jeszcze gorzej Konferencja obeszła się z tow. Tadeuszem Sawicem, przewodniczącym Zarządu Głównego ZG SZSP. Nie pomogła tutaj rekomendacja Biura Politycznego KC: większością głosów nie wpisano go nawet na listę kandydatów. Sytuacja na uczelniach, jak powszechnie wiadomo, daleka jest od doskonałości, trwa tam walka polityczna i dobrze by było, gdyby szef SZSP znalazł się na Zjeździe i może nawet został wybrany w skład członków bądź zastępców członków KC. Tu jednak trzeba myśleć politycznie! Inaczej powinna wyglądać już sama prezentacja tow. Sawica, który przecież tak dobrze zapisał się w czasie swej lubelskiej działalności. Może przedtem kandydat powinien tu i tam pojechać, bliżej przedstawić się, inaczej mówiąc po prostu p o w a l c z y ć. W przyszłości tow. Sawic (który, jak mi powiedział, jest stałym czytelnikiem „Kameny" i mego n o t a t n i k a) na pewno z lubelskiej porażki wyciągnie wnioski, czego mu zresztą szczerze życzę. W kuluarach pogadaliśmy sobie co nieco — lubię takich ludzi z otwartą głową, bo do nich świat należy.

Tyle na ten temat. Sądzę, że to, o czym piszę, będzie stanowić pewne uzupełnienie tych relacji, które ukażą się na łamach lubelskich dzienników. W „Kamenie" mam większe pole do manewrów, zwłaszcza, że nikt mnie, a jedynie ja sam tylko siebie poprawiam, a z cenzurą, o której nie tak znów... ciepło mówiła na Konferencji tow. Elżbieta Kuśmicka, I sekretarz POP przy Wojewódzkim Domu Kultury i bodaj jedyny tej kultury w nowym KW przedstawiciel, przedtem i teraz jakoś sobie radzę. Nawoływanie, by tam pracowali ludzie szczególnie ś w i a t l i jest bardzo chwytliwe. Szukajmy więc kandydatów do tej pracy, która wcale nie jest taka wdzięczna, jakby ktoś może sądził. Ja w każdym razie rezygnuję (nie tylko z tego powodu, że z moją ś w i a t ł o ś c i ą coś nie tak...). Po prostu lubię pracować indywidualnie i za własne tylko błędy odpowiedzialność ponosić.

Przeczytałem to, co dotychczas na tej mej zasłużonej (dla M. A. Jaworskiego) maszynie wystukałem, i widzę, że wyszła mi raz gawęda a raz kazanie. Wybaczcie zmęczonemu — nic nie skreślam, jedziemy dalej.

Z dyskusji nie będę wyciągać nurtu rozliczeniowego. Słuchając niektórych głosów, wydawało mi się chwilami, że gdzieś to już przedtem wyczytałem. Rozliczyć tego, czy tamtego... Oczywiście — rozliczyć! Brudów nagromadziło się sporo, szkoda, że te brudy nie mogą stanowić naszego towaru eksportowego, szybciej wykaraskalibyśmy się z długów. Ostatnio nie używamy już mydła, ale szarpiemy to żywe ciało partii pumeksem (którego zresztą jak i mydła nie ma w sprzedaży), jakby licytując się, kto kogo przebije. W tym masochiźmie sięgamy coraz głębiej i w historię Polski Ludowej, gotowi i najprawdziwsze karty uznać za fałszywe. Ile przy tym objawia się różnych osobistych zawiści, pomówień. Może w tzw. minionym okresie i zwykła ludzka życzliwość została skazana na wygnanie? Może musimy się po prostu uczyć abecadła współżycia? Ale jak tak dalej pójdzie, to do 2000 roku nie wyjdziemy z przedszkola!

I tak zacząłem cytować samego siebie z Konferencji, dodając w mym wystąpieniu, że oczywiście ze złodziejem nie będę się ściskał. „Ale — mówiłem — nie trzeba być prawnikiem, by wiedzieć, że każde złodziejstwo trzeba udowodnić. W odczuciu społecznym i to, co się nazywa oficjalnie naruszeniem przepisów, nieformalnością, nadużyciem władzy spotyka się ze sprzeciwem. Rozumiem to, bo wobec prawa gdzie jak gdzie, ale w ustroju socjalistycznym każdy powinien być równy. Tu nie ma równych i równiejszych! Po to jednak istnieją różne organa kontrolne, by sprawiedliwość zawsze sprawiedliwość znaczyła. Co jednak czynić wówczas, gdy ten, komu wojewódzką sprawiedliwość się powierza, nie dba o czystość własnej, sędziowskiej togi? Dlatego — z wielkim taktem, ale i z partyjną pryncypialnością — traktujmy to, co się nazywa problemem rozliczeń. Rozliczeń nie można jednak przeciągać w nieskończoność, bo wszyscy pożremy się wzajemnie! Niech to jednocześnie będzie wielką lekcją dla tych wszystkich, którzy — często drogą przypadku — dochodzą dziś do większej czy mniejszej władzy. Niech to też będzie lekcją dla wszystkich, którzy do władzy nie dochodzą, ale lubią tę władzę — niezależnie od tego, jaka by ona była — polizać. Lizusostwo jest wrogiem każdej władzy, każdej partii, ale partii marksistowsko - leninowskiej szczególnie".

Mówiłem, a sala, na szczęście, nie wachlowała się mandatami (wprowadzono puławski zwyczaj: ktoś mówi za długo, albo ględzi, wówczas sala w ten sposób przywołuje mówcę do porządku — cudowne!), a potem obudził się we mnie długoletni lektor KW, którego specjalizacją były i są sprawy międzynarodowe, i przypomniałem słowa Edwarda Gierka (tak, Gierka, a co nie wolno już cytować? — Stalin też ma wiele stwierdzeń, które nie straciły na aktualności), że niepodległość nie jest nam dana raz na zawsze. „Groźba zainstalowania rakiet średniego zasięgu na terytorium RFN — to już ja — nie stanowi straszaka nas, komunistów, wobec własnego społeczeństwa. To realne niebezpieczeństwo. Nie dostrzegać tego niebezpieczeństwa, odwracać kota ogonem, to skrajny brak odpowiedzialności, to bezgraniczna głupota polityczna". Przy okazji wspomniałem o zatroskaniu prasy socjalistycznej tym, co się dzieje w Polsce i wytknąłem władzom państwowego uniwersytetu lubelskiego i jego Komitetowi Uczelnianemu PZPR fakt, że w gmachu tegoż uniwersytetu odbyło się właśnie spotkanie z panem Moczulskim. W odpowiedzi tow. Andrzej Lech Zachariasz, delegat na Konferencję, pracownik naukowy UMCS, członek egzekutywy KU, powiedział, iż „to był jeden dobry moment, że studenci mieli możność się przekonać, kto to jest pan Moczulski, co reprezentuje sobą i co może studentom zaoferować", a tow. Ziemowit Jacek Pietraś, I sekretarz KU PZPR przy UMCS, z całą mocą podkreślił, że stanowisko Komitetu Uczelnianego PZPR jest jednoznacznie negatywne do organizowania tego typu imprez na terenie uniwersytetu. Chyba się więc, towarzysze, zgadzamy i sprawy nie ma! Dziwię się jednak, że odmienne stanowisko zajęła na Konferencji nowo wybrana ostatnio sekretarz KM PZPR w Lublinie, tow. Woytowicz (przepraszam, imienia nie zanotowałem), która w tej sprawie rzekła dosłownie tak: „Problem Moczulskiego. Jeśli chcemy zmienić sposób postępowania i forum dyskusji, to musimy się zastanowić nad formami dyskutowania. Jeśli Moczulski jest naszym ideologicznym przeciwnikiem, to porozmawiajmy z nim, ale nie na wiecu, ani na ulicy, moim marzeniem jest stworzenie forum do dyskusji, np. w Komitecie Miejskim, gdzie się spotkają z nim ideolodzy nasi, prawdziwi komuniści, przygotowani do dyskusji i z tej walki Moczulski wyjdzie o dwa argumenty mniej".

Ripostowali później w kolejności: tow. Zdzisław Cackowski, tow. Mieczysław Jagielski i tow. Elżbieta Kuśmicka. Tow. Jagielski podkreślił, że tu trzeba mieć pełną świadomość i choćby określone poczucie odpowiedzialności. Nie chodzi bowiem o dyskusję, o polemikę na temat różnych poglądów co do metod i form kształtowania naszego socjalistycznego ustroju. Moczulski żywi do tego ustroju wcale nie tajoną nienawiść i z tym ustrojem walczy.

Piszę o tym, bo nie można sprawy przemilczać. Ten, kto chce być politykiem, musi wiedzieć, co, gdzie i kiedy może powiedzieć. Ja w tej sprawie na razie tyle.

Na Konferencji poruszono również problem podjęcia przez Komitet Uczelniany PZPR w maju br. uchwały w sprawie zniesienia wszelkich preferencji, dotychczas stosowanych, w stosunku do młodzieży pochodzenia rolniczego. Przedstawiciele KU uściślili teraz swoje stanowisko. Klarowność przekazywania myśli zawsze jest potrzebna, po co domagać się komentarzy?

Gubię się w tym konferencyjnym materiale, a tu już północ dochodzi. Czas chyba, aby trochę pomówić o sprawach gospodarczych.

Tow. Eugeniusz Garbiec, wojewoda lubelski, poświęcił im sporo uwagi, potwierdzając słuszność poglądu, że społeczne zainteresowanie gospodarką jest tym większe, im gorszy jest stan samej gospodarki.

A przecież nie musi być tak, że naszym osobistym zdrowiem zaczynamy się interesować dopiero wtedy, gdy je tracimy, a kiedy jesteśmy w pełni sił, to ono nas wcale nie obchodzi. Zdaniem mówcy, duże społeczne zainteresowanie problematyką gospodarczą stanowić będzie siłę motoryczną w procesie wyprowadzania naszej gospodarki z kryzysu, a jednocześnie tworzyć będzie gwarancję przed pojawieniem się przesłanek kryzysowych w przyszłości. „Używając terminologii wojskowej — oświadczył — sądzę, że naszych dzisiejszych problemów nie da się rozwiązać metodą szturmu, frontalnego ataku, że jedyną drogą jest strategia oblężenia, polegająca na wykorzystaniu całego dostępnego arsenału środków i metod działających w jednym kierunku i obliczanych na dłuższy okres czasu".

Potem było trochę o osiągnięciach (narzekamy na ochronę zdrowia, ale posłuchajmy: tylko w ubiegłym pięcioleciu przekazano łącznie z modernizacją blisko 1200 łóżek szpitalnych, to jest 10 procent efektów uzyskanych w kraju. Inaczej mówiąc, co dziesiąte łóżko „było wybudowane" [Boże, nie grzmij, ja cytuję dosłownie] w naszym województwie. Słowo daję — nie wiedziałem!).

Ale teraz trochę barwy czarnej. Popadliśmy w niezwykle kosztowne inwestycje o długich cyklach realizacyjnych i to w sytuacji, kiedy w gospodarce wystąpiły już znamiona kryzysu. Rozpoczęliśmy np. budowę gigantycznej odlewni żeliwa w Lublinie przez co na wiele lat odsunięto program tak niezbędnej modernizacji fabryki.

A w ogóle jest coraz trudniej — z żywnością, z dostawami surowców i materiałów oraz elementów kooperacyjnych. Rośnie stopień rozregulowania gospodarki brakuje materiałów pędnych, odczuwalny jest niedostatek węgla, nie może sprostać zapotrzebowaniu energetyka, gaśnie aktywność gospodarcza. W maju np. sprzedaż produkcji własnej i usług była aż o 19 proc. niższa w porównaniu z analogicznym okresem roku ubiegłego. Przy tym załamaniu produkcji zatrudnienie w przemyśle wzrosło o blisko 2 proc., a wydatki z osobowego funduszu płac — o ponad 28 proc.!

Niższy o prawie 25 proc. w porównaniu do roku ubiegłego jest w woj. lubelskim skup żywca. Występuje tendencja dalszego jego spadku, co stwarza zagrożenie dla pokrycia przydziałów w ramach systemu kartkowego. W sumie: pracujemy krócej, spada produkcja, a dochody rosną.

Administracja nie jest jednak bierna. Do produkcji włączyliśmy blisko 15 młynów GS-ów i cztery prywatne. Przeprowadzimy gruntowną modernizację dużych obiektów mleczarskich w Lublinie i w Lubartowie. Mamy konkretny program włączenia do produkcji szeregu małych zakładów, zlikwidowanych dawniej, co w następnych dwóch, trzech latach da znaczne przyrosty zdolności przetwórczej i produkcji. Maksymalnie szybko będziemy rozwijać przemysł drobny i spółdzielczość pracy, chcemy przejąć z planu centralnego te zakłady, które obecnie w niewielkim stopniu produkują na rynek, a w przyszłości należały do przemysłu terenowego.

Wojewoda mówił dalej o zamierzeniach w dziedzinie uspokojenia rynku i w zakresie rolnictwa. W tym roku (w przeciętnych warunkach pogodowych) zbierzemy kombajnami zbożowymi 32 proc. zbóż, a wiązałkami — 28 proc.

Nie będę dalej cytować, ale niektóre propozycje wydają mi się interesujące. W przyszłości warto je będzie szerzej zrelacjonować. Na razie jednak jest źle, będzie zapewne gorzej, ale może z czasem wyjdziemy na prostą.

Tow. Eugeniusz Garbiec od niedawna jest wojewodą, ale sądzę, że i on ma swój udział w tym, że nasze województwo uniknęło po Sierpniu większych konfliktów społecznych. Nie mniej administracja zawsze jest bita (za błędy swoje i cudze) i Gienek odczuł to na swojej skórze: nie wszedł ani w skład KW ani w skład delegatów na Zjazd. Nie powinien jednak odczuwać tego jako osobistą porażkę czy może nawet i tragedię. W dobie, kiedy się mówi o niedublowaniu działań partii i administracji, na coś trzeba się zdecydować, choć tak trudno nagle stać się wyłącznie administratorem, kiedy uprzednio było się funkcjonariuszem partyjnym. Ja Gienka dobrze rozumiem. Ale wszyscy się uczymy żyć (a niektórzy uczą się rządzić) po nowemu, zgodnie z wymogami nowych czasów.

Nie da rady, moi szanowni czytelnicy — piszę coraz bardziej chaotycznie, a stos materiałów z Konferencji wcale nie maleje. Miejsca jednak mam już coraz mniej (czasu do pisania również). Więc może teraz słów kilka o krótkim, ale mądrym przemówieniu tow. Stanisława Jędrycha, I sekretarza KM w Puławach, bo terenowi też się coś należy.

Podobało mi się, kiedy zacytował on Lenina, który sformułował taką myśl, że pobite armie dobrze się uczą. „Jesteśmy dziś taką armią. W leninowskiej tezie odczytuję nadzieję i optymizm, że potrafimy wyciągnąć wnioski, zapisać je w uchwałach i konsekwentnie, bez względu na osobę, stanowisko, wcielać je w życie. Odpowiadamy sobie na dzisiejszym forum: jaką stanowimy siłę na terenie województwa? Co możemy zrobić od dziś, by słabość partii uczynić siłą. Po pierwsze więc: powinniśmy uświadomić sobie, że co dziewiąty dorosły mieszkaniec województwa jest członkiem partii. Możemy więc od dziś stanąć w swoich środowiskach, w swoich zakładach, organizacjach partyjnych do walki z bałaganem, dezorganizacją, marnotrawstwem, destrukcją, bezmyślnością, przejawami biurokracji. Są to przeciwnicy trudniejsi niż przeciwnicy odnowy. Żaden program nie zmieni sytuacji, jeśli nie zmienimy sposobu myślenia, naszej świadomości, jeśli nie obudzimy ducha naprawy Rzeczypospolitej u każdego członka partii, u każdego obywatela. Po drugie: praktyka politycznego działania ujawniła, że mamy ogromne zaniedbania w sferze ideologicznej. (Oj, tak, wymowny tego przykład przedstawiłem uprzednio). Marksistą nie staje się na zasadzie objawienia, to przychodzi wraz z doświadczeniem jako wynik intensywnej pracy nad samym sobą".

Mówca przypomniał, że z inicjatywy instancji miejskich w zebraniu sprawozdawczo - wyborczym środowisk robotniczych Puław uczestniczyli towarzysze z zakładów naukowych. Właśnie te bezpośrednie, robocze spotkania przekonują nas o potrzebie organizowania permanentnej wymiany doświadczeń z różnych środowisk.

I ja też jestem za wszechstronną wymianą doświadczeń, byle tylko — co podkreślali niektórzy spośród delegatów — była ona zgodna ze statutem partii!

I jeszcze fragment wypowiedzi tow. Witolda Przybylskiego, I sekretarza KZ PZPR przy WSK w Świdniku: „Obserwujemy szkodliwość, którą sami sobie w partii wyrządzamy. Bezkrytycznie wykorzystujemy podrzucane nam hasła, eliminujemy w wyborach często ludzi wartościowych, skreślając dla zasady tych, którzy działali w poprzednim okresie; nie widząc i nie proponując przy tym lepszych. Wybiera się ludzi mało znanych, chociaż uczciwych, ale nie przygotowanych i bez warunków do tej pracy, którzy może i nic zrobią niczego złego, ale i nie wniosą korzyści. Obyśmy nie popełnili tego błędu dzisiaj i na Zjeździe. Nie powinniśmy traktować pracy KW i KC

Dokończenie na str. 12

ROZMOWA Z BOLESŁAWEM MICHAŁKIEM

Dokończenie ze str. 1

ciągły brak kontaktów z publicznością (nie widać było tych filmów ani w kinach, ani w telewizji) zadał ostateczny cios. Nie uległem tej panice, chociaż przyszłość dokumentu wyglądała marnie. Sądziłem że metoda, którą się posługują, metoda „autorska" jest słuszna: film dokumentalny, sztuka dokumentalna nie jest mechanicznym zapisem rzeczywistości, lecz zapisem punktu widzenia, przekonań, niepokojów i nadziei autora. Tyle tylko, że w tych latach nie było atmosfery społecznej i politycznej do praktykowania takiego „subiektywizmu". Okazało się jednak, że dokumentaliści z ulicy Chełmskiej mieli w sobie tyle siły, żeby pokonać złą atmosferę; swym talentem, uporem, determinacją potrafili wyartykułować obraz rzeczywistości, który był polemiką z obrazem rzeczywistości spreparowanym przez oficjalną propagandę. Stało się to szczególnie wyraziste teraz, gdy podczas krakowskiego festiwalu mogliśmy zobaczyć cały pakiet tych filmów. Nie walory estetyczne są tutaj ważne, ale pojawienie się w całej okazałości na ekranie — klasy robotniczej, jej świadomości. Stało się to, że film dokumentalny zapisał pewien stan ducha, świadomości społecznej, nastrojów kraju z końca lat siedmdziesiątych. Wiele z pokazanych na festiwalu filmów czekało na premierę od kilku lat. Ale kiedy się ukazały na ekranie, dowiodły, że okres, który przedstawiano nam jako pełen sukcesów, spokojny, uładzony, optymistyczny, był w istocie pełen buntów, rozczarowań walki o słuszne, ludzkie prawa. Patrząc w ten sposób na owe filmy „z półek", dostrzeżemy, że oto stała się rzecz bardzo rzadka: film działał jak barometr społecznych ruchów. Przewidywał coś, co nastąpi. Z punktu widzenia światowego kina dokumentalnego to jest ewenement.

M. D.: — Bardzo wyraźnie zarysował się ten konsekwentny kierunek młodego polskiego kina dokumentalnego w festiwalowym przeglądzie „Robotnicy w polskim filmie dokumentalnym": dwadzieścia filmów — od nakręconych przed dziesięciu laty „Robotników 1971" Kieślowskiego i Zygadły poprzez „Jastrzębie" Manturzewskiego i Niedbalskiego, „Nasze znajome z Łodzi" Gryczełowskiej, „Satysfakcję" Kosińskiego i „Mikrofon dla wszystkich" Zygadły, aż po „Robotników 80" Chodakowskiego i Zajączkowskiego.

B. M.: — Właśnie. Ten przegląd, ukazujący „świadomość klasy robotniczej" był rewelacyjny... Może nawet socjologia nie potrafiła odnotować tego procesu rozwijania się, dojrzewania świadomości robotników, tak jak zrobił to film. Bo filmowcowi przychodzi jeszcze w sukurs obraz, nastrój, twarz ludzka... Większość z zaprezentowanych na festiwalu filmów oglądałem już wcześniej, ale dopiero tutaj, w Krakowie, mogłem w pełni uświadomić sobie i w pełni docenić siłę i zakres naszego kina dokumentalnego. Profesor Toeplitz ma rację: te filmy zapiszą się jako ważny rozdział w historii naszej kultury.

Takie rzeczy zdarzają się w kinie światowym niezwykle rzadko. Wielkie ruchy społeczne nie zapisują się w nim tak szybko i tak dobitnie, jak to się stało u nas. Na przykład wojna algierska prawie zupełnie nie znalazła odbicia w dokumencie francuskim. Podobnie — francuskie ruchy studenckie 1968 r. A przecież były to wydarzenia niezwykle istotne dla ówczesnej Francji. Oczywiście powstały takie filmy, ale są one ułomne. Kiedy oglądamy francuskie filmy z wydarzeń 1968 roku, to widzimy sceny wyłącznie „zewnętrzne", np. policja bije studentów. I na tym koniec. U nas film starałby się drążyć w głąb taką scenę: kim są ludzie, którzy występują po obu stronach, dlaczego każda ze stron postępuje w taki, a nie inny sposób. Tym właśnie współczesny polski dokument różni się od dokumentu europejskiego.

M. D.: — Ale u nas, w Polsce młody człowiek wybierając się do szkoły filmowej od razu zakłada, że będzie nie tylko artystą, ale także „bojownikiem".

B. M.: — No bo, wie pan, u nas sztuka jest od bardzo dawna rzeczą obywatelską, rodzajem posłannictwa, powołania... My wciąż sobie zadajemy pytania, czym jest człowiek wobec historii, czym jest naród, czym jest jednostka wobec państwa, a państwo wobec jednostki, czym władza wobec narodu... W tym tkwi siła polskiej sztuki. Jest to jednak i pewna słabość. Bo polski twórca nastawiony na perspektywę społeczną, polityczną, patriotyczną, z niejakim roztargnieniem bada „mroki ludzkiej duszy", zagadki ludzkiej egzystencji co jest siłą z kolei innych formacji kulturalnych na przykład wielkiej literatury rosyjskiej. Nasze historyczne i kulturowe dziedzictwo niewątpliwie nas kieruje w określonym kierunku.

M. D.: — W okresie, gdy narastała fala polskiego dokumentu, dochodziło także do głosu, w filmie fabularnym, „kino moralnego niepokoju": „Człowiek z marmuru", „Indeks" „Wodzirej", „Aktorzy prowincjonalni", „Kung-fu" „Szansa", „Amator" i inne. Musiało wytworzyć się jakieś sprzężenie zwrotne pomiędzy dwiema grupami filmowców — dokumentalistów i fabularzystów, jakieś silne wzajemne oddziaływanie. Zresztą większość autorów filmów fabularnych wyrosła ze szkoły dokumentu, a niektórzy, jak Kieślowski, do tej pory z powodzeniem uprawiają obydwa rodzaje sztuki.

B. M.: — Filmy „moralnego niepokoju", gdzieś od roku 1977 pełniły podobną funkcję, co filmy młodych dokumentalistów, to zresztą zostało wyraźnie potwierdzone w odbiorze społecznym. Te filmy, pokazywały ludzi w konfliktach, konstatowały niepokój, niesprawiedliwość, chorobę społeczną; podobnie jak „dokumenty", działały jako barometr społecznych przemian. Z nich także wyłania się trochę inny obraz Polski niż ten oficjalny. Z tym jednak, że filmy „moralnego niepokoju" opisały inną warstwę naszego społeczeństwa; rozdarcia, konflikty i niepokoje polskiej inteligencji. Jeżeli się więc zestawi „dokument" opisujący stan świadomości klasy robotniczej z „fabułą" odnotowującą stan ducha naszej inteligencji, to otrzymamy w sumie stan ducha i nastrojów znacznej części naszego społeczeństwa na przełomie lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych. Będzie to materiał ogromnie ważny dla przyszłego historyka i socjologa.

Fot. J. Rubiś

M. D.: — Wracając do krakowskiego festiwalu i do polskiego filmu dokumentalnego: słyszało się w Krakowie głosy, że tworzonemu w ostatnich miesiącach dokumentowi, temu filmowanemu „na gorąco", gdy sama sytuacja dziejąca się przed kamerą stanowi w znacznej mierze o „dramatyzmie" późniejszego filmu, zagraża popadnięcie w kronikarstwo. I że czas najwyższy już teraz pomyśleć o „pogłębianiu" podejmowanych tematów, o zwracaniu uwagi na wartości estetyczne, formalne itp., dopóki nie jest jeszcze za późno...

B. M.: — Sztuka zawsze staje wobec jakichś niebezpieczeństw. Ale, proszę pana jest takie złudzenie w Polsce, jak zresztą i na całym świecie, że jeśli coś jest żywe, związane ze współczesnością, tworzone „na gorąco", to nie jest „artystyczne". Że sztuka polega na „kreacji", pojmowanej dość powierzchownie jako „forma", „wizja", „uroda" i temu podobne słowa, używane i nadużywane przez krytykę. Z tym się nie zgadzam. Dla mnie sztuka tkwi w umiejętności pokazania człowieka, w przenikliwości spojrzenia, w zdolności od ujawniania jego wyborów, dramatów; wreszcie, w umiejętności wzruszenia odbiorcy. Mówi się, że niektóre filmy krakowskie były tylko „szkicowe", były brulionem, a nie wypracowanym dziełem. Wcale mi to nie przeszkadza. Czy sądzi pan, że szkicowa, brulionowa grafika Goyi, myślę o „Okrucieństwach wojny", jest sztuką gorszą, niż wypielęgnowane, wielkie płótna mistrza Matejki?...

Kamena str. 4

Andrzej Bień

* * *

Kiedy powiewa sztandar
rozum mieści się w trąbie.
(Przysłowie ukraińskie)

trąby
ogłaszają nadejście nowej ery
heroldowie
dmą w trąby ze wszystkich sił
trąby pozłacane są i pokrętne
dla uświetnienia uroczystości
na placu przed pałacem
odbywa się publiczne biczowanie tych które pogwałciły
święte prawa
a wynalazcy demonstrują ku uciesze gawiedzi
najnowsze modele maszyn latających
miotających przekleństwa promienie laserowe i pioruny
przy okazji
tłum kamienuje kilku inowierców
urzędnicy państwowi łapownicy i stręczyciele
poniewierają się w pyle powszechnej katharsis
i kiedy już ostatni ciura obozowy
przysięgnie odtąd wiernie służyć sprawie
Nastąpi Zmiana Nastroju...

Marian Yoph-Żabiński

BŁYSKOTEKA

Pod błyskoteką nieba całe moje istnienie
chłonę słońce wodę i wiatr ażeby żyć
bezmiarem świadomych wizerunków
na miarę zwykłego szczęścia
co by się chciało mienić ósmym dniem tygodnia

pod błyskoteką gwiazd — żagle
w zielonych wodach lata:
ja od żaglowca bardziej samotny
kiedy zasiadam nad rzeką pamiątek
to dorosłości z dzieciństwem spotkanie
jakbym żył w piątej porze roku

w mojej błyskotece drzewko wzięte z kresów
i zasadzone nad morzem tak już wyrosło
że korzeniom opowiada czym jest okręt
— oto błyskoteka w pragnieniu powtórzenia mnie

Z ŻAGLI

Posłany by spisać puls serc
na pokład kutra rybackiego
któremu tak gorąco pragnę dać
dramatyczny wysiłek twarzy
człowieka co jak ryba morze przebywa życie
o rękach pokrytych znakami noża
do patroszenia ryby

z czoła mu różowy strumyk potu spływa
jak rdza
pod językiem czuje słony smak bryzy
zwabionej słodkim zapachem krwi

jego dusza zna pustoty serca
i księżyc nieskończony na ugorach morza
co poblękitniało od upływu czasu
tej wielkiej rzeki mułu i popiołu

patrz dokąd płyniesz sam cały z żagli
i morowego powietrza co powstało z prochu

DEBIUT

Mirosław Glazik

* * *

wierzę że ma sens każdy mój gest
każda pomyłka wszelka epoka cierpliwości
tamten lot ryby nad powierzchnią wody
ta noc bezsenna ta chwila kulawa
te papierosy spalone w pośpiechu łakomie
wiersze które napisałem poniekąd wbrew sobie
pnąca winorośl ozdabia komnaty ciemności
noc kryje nietoperza mocującego się z cieniem
księżycowym
daremnie kradniesz przedmioty zbytku
sprawiedliwość nie odda ubogim ni grosza
cierpienia
złoczyńcom szafot chociaż we śnie
to już sukces
najdrobniejsza dolina ciała mego napełni się
czystością gdy nadejdą dni kiedy naprawdę
potrzebny będę ludziom
(teraz spalone podręczniki historii
w centrum stolicy upadły kolosy o glinianych
nogach)
wierzę że ma sens każdy gest
który przewyższa bezsens chwili

Oceny czerwca '56

POZNAŃSKI czerwiec długo nie mógł znaleźć należnego sobie miejsca w historii najnowszych dziejów Polski. Na wypowiadanych ocenach ciążyło brzemię polityki. Bardziej niż o prawdę szło w nich o zgodność z aktualną linią polityczną. Dlatego może być pouczające prześledzenie opinii o czerwcu '56, zawartych w wypowiedziach polityków i doniesieniach prasowych.

Pierwszych informacji o tym, co działo się w Poznaniu między 28 a 30 czerwca, dostarczył komunikat PAP, opublikowany w „Trybunie Ludu" z 30.VI.1956 r.:

W dn. 28 bm. doszło do poważnych zaburzeń na terenie miasta Poznania. Od pewnego czasu agentura imperialistyczna i reakcyjne podziemie starały się wykorzystać trudności ekonomiczne i bolączki w niektórych zakładach Poznania dla sprowokowania wystąpień przeciwko władzy ludowej. Wróg nie przypadkiem obrał sobie jako teren prowokacji właśnie Poznań w chwili, gdy odbywają się tam międzynarodowe Targi. Chodziło o to, aby rzucić cień na dobre imię Polski Ludowej, utrudnić rozwijanie naszej pokojowej współpracy międzynarodowej.

W dn. 28 bm. agentom wroga udało się sprowokować zamieszki uliczne. Doszło do napadów na niektóre gmachy publiczne, co pociągnęło za sobą ofiary w ludziach [1]).

W oparciu o świadomą część klasy robotniczej władze opanowały sytuację i przywróciły spokój w mieście [2]).

Na miejsce wypadków udali się przedstawiciele Rządu i KC PZPR z Premierem J. Cyrankiewiczem na czele.

Sprawcy rozruchów, które miały charakter szeroko zakrojonej i starannie przygotowanej akcji prowokacyjno-dywersyjnej, zostaną ukarani z całą surowością prawa [3]).

Analogiczny sąd o wypadkach poznańskich zawarty był w przemówieniu radiowym J. Cyrankiewicza, nadanym przez rozgłośnię lokalną (29.VI), i w mowie pogrzebowej E. Gierka (30.VI) [4]).

J. Cyrankiewicz mówił: *Każdy prowokator czy szaleniec, który odważy się podnieść rękę przeciw władzy ludowej, niech będzie pewien, że mu tę rękę władza odrąbie w interesie klasy robotniczej, w interesie chłopstwa pracującego i inteligencji, w interesie walki o podniesienie stopy życiowej, w interesie dalszej demokratyzacji naszego życia, w interesie Ojczyzny [5]).*

E. Gierek: *Robotnicy padli ofiarą prowokatorów, agentów imperializmu. [...] Śmiertelna nienawiść do Polski Ludowej, do naszej władzy robotniczo-chłopskiej kierowała tymi zbrodniczymi rękami. [...] Jakże gorzko zawiedli się w swoich rachubach ci nędzni awanturnicy.*

przyczyn wydarzeń. Wprawdzie dalej mówi się o *podziemnych, kontrrewolucyjnych grupach, czerpiących inspirację ze źródeł wrogich, ale pada też stwierdzenie, że: Byłoby błędem skupić uwagę przede wszystkim na machinacjach prowokatorów i agentów. Należy szukać korzeni socjalnych. [...] Winna jest biurokracja resortowa, wielmożowie, którzy mają watę w uszach.*

Diametralna zmiana oficjalnej oceny nastąpiła na VIII Plenum. W wygłoszonym w dniu drugim obrad (20.X. 1956 r.) referacie W. Gomułki znalazła się wyodrębniona część pt. **Nauki Poznania.** W. Gomułka mówił:

Klasa robotnicza dała ostatnio kierownictwu partii i rządowi bolesną nauczkę. Robotnicy Poznania, chwytając za oręż strajku i wychodząc manifestacyjnie na ulice w czarny czwartek czerwcowy, zawołali wielkim głosem: Dosyć! Tak dalej nie można! Zawrócić z fałszywej drogi!

Klasa robotnicza nigdy nie chwytała się strajku jako oręża walki o swoje prawa w sposób lekkomyślny. Tym bardziej teraz w Polsce Ludowej, rządzonej w jej imieniu i w imieniu wszystkich ludzi pracy, nie zrobiła tego kroku lekkomyślnie. Najwidoczniej przebrała się miara. A miary nie można nigdy przebierać bezkarnie.

miasta. Protestowali oni przeciwko złu, jakie szeroko rozkrzewiło się w naszym ustroju społecznym i które ich również boleśnie dotknęło, przeciwko wypaczeniom podstawowych zasad socjalizmu, który jest ich ideą. [...]

Wielką naiwnością polityczną była nieudolna próba przedstawiania bolesnej tragedii poznańskiej jako dzieła agentów imperialistycznych i prowokatorów.

Agenci i prowokatorzy zawsze i wszędzie mogą być i działać. Ale nigdy i nigdzie nie mogą decydować o postawie klasy robotniczej [6]).

W rok później, 5.VI.1957 r., na spotkaniu z załogą „Cegielskiego" Gomułka odstąpił od powyższej oceny. Mówił o *żałobnej kurtynie milczenia, którą należy opuścić nad wypadkami poznańskimi.* I dalej: *Zapytujecie mnie, w jaki sposób należy uczcić pamięć tych, którzy zginęli? Odpowiadam: w spokoju i powadze, tak jak czci się pamięć zmarłych w rodzinie. [...] Nas powinna jednoczyć świadomość i wola, aby z naszej rodzinnej tragedii, która rozegrała się w Poznaniu, nie pozwolić wyciągnąć zysków wrogom Polski Ludowej. [...]*

Dla usunięcia wszystkiego, co w związku z tragedią czerwcową w Poznaniu mogłoby oddalać klasę robotniczą od władzy ludowej, zwolniono od odpowiedzialności tych, którzy podnieśli przeciwko niej uzbrojoną dłoń. Sam byłem zwolennikiem darowania im ciężkiego przewinienia, gdyż w tym, co się stało w Poznaniu, widziałem tylko tragedię zaszłą między braćmi, a nie walkę przeciwstawnych sił.

Stało się zadość żądaniu Gomułki — nad wydarzeniami poznańskimi opuszczono *żałobną kurtynę milczenia.* Milczenie o nich kontrastowało z hukiem obchodów 1000-lecia państwa polskiego w 1966 r., z deklarowaną przez Gierka polityką szczerego dialogu ze społeczeństwem w 1971 r. Milczenie to przerwały demonstracje robotnicze w Radomiu i Ursusie w 1976 r., a ostatecznie wydarzenia sierpniowe i odsłonięcie pomnika JEDNOŚĆ w XXV rocznicę czarnego poznańskiego czwartku.

Opr. **M. Z.**

---

[1]) Bezpośrednio po wypadkach radio Warszawa podało, że śmierć poniosło 38 osób i około 300 zostało rannych. Według oświadczenia Wydziału Zdrowia WRN w Poznaniu z początków lipca 56 r. — liczba zabitych wynosiła 48, a rannych 438. Według danych milicyjnych (dane te cytuję za J. Maciejewskim, „Fakty i znaki zapytania", „Polityka" nr 23 z br.) — życie straciło 55 osób, a 575 odniosło rany. Według oświadczenia prokuratora generalnego z 17.VII.56 r. — zabitych było 53, a rannych ponad 300 osób. Autorzy książki „POZNAŃSKI CZERWIEC 1956 ROKU" prof. dr hab. J. Maciejewski i doc. dr hab. Z. Trojanowska, zrekonstruowali listę 75 osób zabitych w wypadkach, w tym 5 żołnierzy i funkcjonariuszy UB. Liczbę rannych przebywających i opatrzonych w szpitalach określili na ponad tysiąc.

[2]) Według badań J. Maciejewskiego — w tłumieniu zaburzeń brał udział 10 pułk KBW, oddziały pancerne IV Korpusu Armijnego Śląskiego OW i 10 Sudecka Dywizja Pancerna. Całością sił działających w Poznaniu dowodził gen. S. Popławski.

[3]) Według cytowanego oświadczenia prokuratora generalnego PRL, M. Rybickiego — w lipcu zatrzymanych było 323 osoby, przeciwko którym toczyło się śledztwo. Odbyły się trzy procesy. W pierwszym, który rozpoczął się 27.IX.1956 r. i trwał 11 dni, skazano trzy osoby za zabójstwo plutonowego (kaprala?) UB, Z. Izdebnego, na kary od 4 do 4,5 roku więzienia. Proces drugi toczył się przeciwko J. Kulasowi i dziewięciu współoskarżonym o napad na gmach UB. Jako biegły wystąpił w tym procesie prof. J. Chałasiński. Wskazywał on na emocjonalne tło wydarzeń i działanie zjawiska psychologii tłumu. Jak podaje wdowa po profesorze, p. K. Chałasińska, jej mąż powiedział, iż nie wykluczone, że gdyby był w Poznaniu, też by strzelał. Mimo wystąpienia prof. Chałasińskiego zapadły wyroki skazujące — od kilku miesięcy do 6 lat. Trzeci proces toczył się przeciwko grupie osób oskarżonych o rozbijanie komisariatów. 5.XI.1956 r. Prokuratura Generalna przekazała za pośrednictwem PAP komunikat, w którym informowała, że „zarządziła zrewidowanie wszystkich aktów oskarżenia wniesionych przeciwko sprawcom przestępstw popełnionych w czasie wypadków poznańskich. Równocześnie Prokuratura wystąpiła do sądu o zwolnienie z aresztu tymczasowego tych wszystkich osób, na których nie ciąży zarzut zabójstwa albo rabunku". Sąd Wojewódzki w Poznaniu umorzył postępowanie w trzecim procesie i unieważnił wyroki wydane w drugim, tylko osoby skazane za zabójstwo plut. Izdebnego odbyły karę.

[4]) E. Gierek był przewodniczącym Komisji Partyjno-Rządowej do zbadania przyczyn wydarzeń. Raport tej komisji nie został opublikowany.

[5]) Jednym z następstw przemówienia J. Cyrankiewicza był satyryczny rysunek, który niebawem obiegł całą Polskę. Przedstawiał on premiera przy bardzo skromnie zastawionym stole, na którym stała także butelka z etykietką „Poznańska Gorzka".

[6]) Dobrze na ogół poinformowany J. Putrament przedstawił na XI Plenum KC PZPR (9.VI. br.) interesującą wersję genezy wypadków poznańskich, sugerującą, że była to prowokacja frakcji starającej się przejąć władzę. J. Putrament powiedział (cytuję za „Trybuną Ludu" z 11.VI): „Jeżeli chodzi o Poznań, to tam była założona mina. W naszej partii walczyły wówczas dwie potężne frakcje i jedna podłożyła tę minę drugiej: jednocześnie zarządzono podwyżkę norm, ograniczenie godzin nadliczbowych i podjęto jeszcze jakieś decyzje. W sumie doprowadziło to do wybuchu".

Reprodukowane zdjęcia pochodzą z wystawy w Starej Galerii ZPAP (Warszawa 24.IV—31.V. br.).

Na VII Plenum (18.VII.1956 r.) przedstawiona została przez ówczesnego sekretarza, E. Ochaba, nieco inna wersja

Robotnicy Poznania nie protestowali przeciwko Polsce Ludowej, przeciwko socjalizmowi, kiedy wyszli na ulice

CAŁE wnętrze było pełne jasnego, zimnego światła, w które wkroczyłem nagle z anonimowej ciemności ulicy, łagodzącej szorstkość gestów, kształtów i nawet myśli. Ale ta ciemność była także pełna cieni i zakamarków, w których żyła niepewność. Czułem się otulony nią jak grubym, zbyt obszernym płaszczem. Teraz, w tym świetle, poczułem się nagi i bez tajemnic i musiałem zapomnieć o wielu rzeczach, które jeszcze miałem, stojąc tam w mroku. Poczułem się także odrobinę śmieszny, a mój zamiar wydawał mi się trywialny i płytki. Chciałem cofnąć się z tego światła nagle, ale zasyczały drzwi i kiedy ruszaliśmy, światło złagodniało i przygasło. Kamienny słup z czerwoną tabliczką odsunął się powoli w ciemność, a ja niepewnie pokonałem przestrzeń dzielącą mnie od kierowcy.

— Chciałbym z panem jeździć — powiedziałem.

— Ciągną przez miasto — powiedział kierowca. — Już teraz, aby nie tłoczyć się w ciągu dnia. Znam ich dobrze, takich wygodnych i zapobiegliwych. Później prześpią cały następny dzień, aby znów powrócić nocą... O, tu jest ten bar — dodał.

Podjechaliśmy do żółtej plamy światła rozlanej na chodniku. Przez górną szybę, z wysokości mojego miejsca mogłem zobaczyć długą, ciemną, połyskliwą ladę i głowy tych, którzy byli w środku. Pod sufitem królowała naga, samotna żarówka, jak gdyby niepotrzebnie rozpalona w zapomnieniu. Słyszałem też ostrą muzykę wypełniającą wnętrze baru i zmieszany gwar rozmów, prowadzonych w pośpiechu i zachłannej natarczywości.

— Zawsze wypracowuję sobie dwadzieścia minut między kursami — powiedział kierowca. — I teraz wypijemy kawę.

wa chwiała się melancholijnie, jak gdyby tylko ona pozostała bierna i niezależna.

Nie mogłem nie patrzeć na niego. To, co było poza nim, nie liczyło się w ogóle. Ten cały bar, rozbudzony u schyłku nocy — to był on. Wielki rozbujały człowiek.

— To Jan-Pysk-jak-ser — szepnął mi do ucha kierowca. — Któryś z chłopców przyniósł to przezwisko z jakiejś książki. To jego taniec nocy. Tańczy go dwa razy w miesiącu, zawsze w piątek. Piątek to dzień umierania, mówi. Tak szykuje się do śmierci. Mówi, że ma wielu wrogów, którzy pragną, żeby milczał. Tu jest twoja kawa.

Postawił przede mną gliniany kubek pełen ciemnego płynu, który mocno zapachniał ciepłem. Wypiłem łyk i patrzyliśmy teraz obaj, a Pysk-jak-ser odrzucił brązową kamizelkę za siebie. Wtedy za-

NOCNY AUTOBUS

Wiesław Horabik

Popatrzył na moje odbicie w szerokim, prostokątnym lusterku. Byliśmy sami.

— Nie może pan spać? — zapytał.

— Nie mogę spać i już dawno nie chodziłem tak po nocy.

— Nie wiem, co chciałby pan zobaczyć — powiedział.

— W nocy zawsze można zobaczyć rzeczy, których nie ma za dnia.

— Może pan i coś zobaczy — powiedział. — Ja widzę tylko puste ulice i śpiące domy.

— Kiedy nie oczekuje się zobaczenia czegoś, nic się nie zobaczy.

— To moja praca — powiedział.

— Tak.

Skręciliśmy szerokim łukiem w Mickiewicza i kierowca wyjął papierosa, by zapalić. Długie rzędy samochodów odpoczywały na chodnikach, niektóre okryte grubym, szarym i zielonym płótnem. Nasze światła przeskakiwały po szorstkim tynku, odkrywając puste plamy okien. Niektóre okna nie były osłonięte i mogłem zobaczyć, na krótko, przeciwległą ścianę z małym obrazkiem lub kwiatem. Wyglądało to tak, jak gdyby za murami nie było nikogo. Ludzie spoczywali przy ziemi, nieobecni i oddaleni. Cienkie drzewa, niepewne w sąsiedztwie betonowych płyt, kołysały się lekko na wietrze. Kołysały się także niektóre latarnie i mijaliśmy ich skrzypiące głosy. Bezużyteczne światła połyskiwały kolorowo, zapraszając do miejsc, które i tak otworzą się dopiero za dnia. Może w ten sposób człowiek gwarantuje sobie ciągłość własnego działania.

— Dzisiaj jest niedobra noc — powiedział kierowca. — Ale są czasami noce pełne. Wtedy wożę dziwaków i filozofów z miejsca na miejsce. Czasami wożę pijaków i zakochanych, i pasażerów spóźnionych pociągów. Często woziłem też grube ryby z fantazją, a czasemi wjeżdżałem w środek wesołości, lub niepokoju. Woziłem także chorych i włóczęgów, a nieraz jest tu tak pełno, jak w porannym szczycie. Może będzie pan miał szczęście.

— Może ta noc będzie już pełna.

Środkiem ulicy, z wysokim pobłyskiwaniem rudego światła sunęła polewaczka, wtłaczając w noc cienkie strugi wilgoci. Widzieliśmy ich rozpryskiwanie się w mocnym rozjarzeniu reflektorów, a później szelest kropel bijących o bruk. Mój kierowca i tamten człowiek w jasnoniebieskim drelichu unieśli ręce. Kiedy nas minął, odwróciłem głowę, aby popatrzeć, jak wlecze się ten niezgrabny kadłub między dwoma pasami krawężników. Przez otwarte okno zapachniało nagle odświeżone powietrze, w którym już zaczął przebijać się świt.

— Polewa teraz, żeby wszystko było suche podczas dnia — powiedział kierowca.

Uśmiechnąłem się.

— Może teraz mu wygodniej — powiedziałem.

— Teraz mu wygodniej i w ten sposób może wykonać plan.

Kiedy skręciliśmy w Okopową, na ulicy nagle zerwał się ruch. Trzy samochody z przyczepami pojawiły się szybko na wprost nas, z podrygiwaniem świateł, równym warkotem silników i dudnieniem kół na asfalcie. Pierwszy prowadziła dziewczyna z długimi, jasnymi włosami, prosto opadającymi na ramiona. Podniosła na nas oczy, kiedy ją mijaliśmy. W drugim siedział starszy, siwy jegomość w sportowej marynarce i pod krawatem, a w trzecim ciemny, ostrzyżony na jeża chłopak. Z tyłu wszędzie rozwalały się rozespane dzieci.

Już na progu odurzył mnie zapach prażonego ciasta i alkoholu, i mocnej, gęstej kawy rozbulgotanej w ekspresie. Pachniały także tanie perfumy i pot, i rozgotowane warzywa, i nieśmiało noc, którą zostawiliśmy za plecami. Pachniało z pewnością wiele innych rzeczy, których nie umiałbym określić.

Rys. Z. Pytlik

Z wnętrza naszego autobusu nie mogliśmy go zobaczyć, albowiem nie mogliśmy zobaczyć środka sali. Jego potężne ciało, tak potężne, jakiego nie widziałem dotąd, zdawało się wypełniać całą wolną przestrzeń między rozrzuconymi na bok fotelami z ciemnego drewna i okrągłymi stolikami, pełnymi plam od piwa i niedomytych kufli.

Był wysokim mężczyzną o wielkiej, nalanej twarzy, w której tylko oczy pozostały jakby zbyt małe. Ciemne, łagodne oczy, w których teraz odbijała się cała sala, a może i całe życie. Fałdy tłuszczu obejmowały jego szyję i podbródek; rozstawione szeroko palce, które wystawiał do światła, były niezgrabne i zbyt krótkie; wydęte policzki lśniły gładko od potu; potężny brzuch kołysał się nierytmicznie i z dużym opóźnieniem w stosunku do nóg, ale nogi były szybkie i ruchliwe, nieprawdopodobnie ruchliwe jak na ciężar, który unosiły.

Ten taniec nie był tańcem powagi. Był jakby tańcem grzechu i być może mądrości. Był tańcem rozpasania i wolności. Muzyka nie była ważna, ważne było tylko to całe rozdygotane skarykaturyzowanie życia. Wielu włóczęgów i poetów, którzy obsiedli stoliki, przyklaskiwało i przytupywało w rytm puszczonego w ruch ciała. Oczy patrzących także błyszczały jasno i podnietliwie. Ogromna gło-

zaczął śpiewać. Śpiewał niskim, ochrypłym głosem, a ja poczułem ucisk w gardle.

Straszny ich strój, straszny strój
i wisielcze powrozy na karku!
Ach Boże mój, Boże mój!
Niby jesteś, a milczysz w letargu!
Patrz, mamo, patrz! Mamo patrz!
Synek z góry ze sznura spoziera...
Chichocze wiatr!
A w całym świecie — niedziela.

Urwał nagle tak, jak zaczął, i prostując się odszedł krok do tyłu, pochylił głowę na bok i popatrzył na nas, a jego ciało ustało w ruchu tak, jak jego głos.

Cały bar zatrząsł się od hałasu, a Pysk-jak-ser pochwycił pełen kufel piwa i opadł ciężko na fotel, który stał przy nim.

I to był koniec. Buchnęła głośniej muzyka i wymieszały się głosy. Dwie wielkie krople potu lśniły na czole Wielkiego Człowieka.

— To dobrze, że to widziałeś — powiedział kierowca. — A teraz musimy już iść.

— Pysk-jak-ser był kiedyś chudy — powiedział długowłosy chłopak obok nas i zaśmiał się bez sensu, a po twarzy dziewczyny siedzącej obok niego toczyły się dwie połyskliwe krople.

— Taka jest noc — powiedział kierowca, kiedy wstaliśmy — i takie jest to moje nocne jeżdżenie.

Od fontanny, rozlanej na skwerku przed barem, dobiegł mnie nagły chłód. Woda stała w niej nieruchomo, odbijając brudne kafle obramowania. To wszystko było takie szybkie. Jeszcze miałem w oczach obraz tego tańca i w uszach tę pieśń, i gwar ludzkich głosów. To wszystko było tak szybkie, jak gdyby nie wydarzyło się naprawdę, i myślałem o tym, czy nie jest to największa prawda o nocy. Zostawiliśmy tamtych ludzi w ich trwaniu, które, gdy nadejdzie dzień, nie będzie już miało sensu. O świcie będzie jak pusty, nieważny gest. Teraz ten taniec wydał mi się jakby istotą świata, na moment zatrzymaną w całej swej złożoności i nierozpoznaniu. Jak gdyby dotknęła mnie śmierć, nagle i niespodzianie. Ale wiedziałem, że we wspomnieniu i ten taniec będzie nieistotny i pozbawiony mądrości.

O tym wszystkim myślałem, kiedy jeździliśmy pustymi ulicami, zabierając czasami zapóźnionych, samotnych ludzi, już szykujących się do pośpiechu dnia. Kiedy okrążaliśmy dworzec, nisko nad torami, w nagłej wyrwie odkrytej przestrzeni objawiło się nam słońce, ogromne, czerwone i oczyszczające.

Był już dzień, gdy skręciliśmy w ulicę, przy której stał nocny bar. Cały ten czas nie rozmawialiśmy o Nim, ani o tańcu, ani o śpiewie, ani o niczym ważnym. Może w ten sposób chcieliśmy zachować to wspomnienie tylko dla siebie.

Ulica była czysta i świeża, jak gdyby noc zabrała ze sobą odpadki i brud.

Kierowca pierwszy zobaczył to zbiegowisko z wysokości swojego fotela, a ja chwilę później. Wokół martwej fontanny tłoczyli się ludzie, a samochody błyskały ostrym, rozkołowanym, niebieskim światłem. Milicjant zatrzymał nas, a wtedy zobaczyliśmy miękką, żółto-zieloną plamę rozpostartą na wodzie. To Pysk-jak-ser leżał tam jak martwa, ogromna ryba, a lekki ruch wody poruszał jego rozwianą wilgotną czupryną.

— O Boże — powiedział kierowca — a tamci znowu będą ciągnąć przez miasto, aby nie tłoczyć się w ciągu dnia, i znowu wyjedzie jutro polewaczka.

A ja odwróciłem twarz i popatrzyłem na półotwarte drzwi baru. Teraz już wiedziałem, że zachowam ten taniec do czasu, aż przydzie pora i na mnie.

Lubelskie ślady Kochanowskiego

Wacław Urban

JESTEM historykiem związanym w zasadzie z Krakowem i Kielcami, ale średnio co dwa miesiące pielgrzymuję w celach naukowych do Lublina, zwłaszcza zaś do pięknych zbiorów tamtejszego Wojewódzkiego Archiwum Państwowego. Zawsze się tu coś ciekawego znajdzie do dziejów Małopolski (w staropolskich granicach, tj. od Siedlec do Żywca), którymi się od trzydziestu lat zajmuję.

Jednym z głównych bohaterów moich badań jest pasjonująca nie tylko polonistów postać Jana Kochanowskiego. Ten najwybitniejszy poeta dawnej Rzeczpospolitej był częstym gościem w Lublinie i przyjaźnił się z lubelskimi szlacheicami: Firlejami, Czernymi, Meglewskimi czy Kłoczowskimi. Jest nawet wymieniany w aktach prawnych dotyczących kontaktów rodziny Kochanowskich z mieszczanami lubelskimi: złotnikiem, a potem burmistrzem Maciejem Krajewskim i z arcykolorową postacią aptekarza lubelskiego Macieja Lossa.

Źródła lubelskie mówią dużo o poecie. Prawie przed pół wiekiem nieoceniony badacz lubelski Leon Białkowski odkrył pierwsze chronologicznie dokumenty wspominające o młodocianym Janie. Pochodzą one z lubelskich akt wójtowskich. Kilka lat temu opublikowałem, znów na podstawie ksiąg szlacheckich sądów lubelskich, akta dotyczące zakupu przez Kochanowskiego połowy wsi w Radomskiem, co udowodniło, że był znacznie bogatszy, niż dotąd sądzono (jako dziedzic połowy Czarnolasu i połowy Chechel). W przygotowywanym przez prof. J. Pelca, doc. M. Korolkę, dr M. Garbaczową i przeze mnie wydawnictwie materiałów biograficznych do Jana Kochanowskiego znajdą się także inne interesujące dokumenty lubelskie, m. in. akt z 1580 r. z ksiąg miejskich Kazimierza Dolnego, mówiące o poecie jako rozjemcy w sprawie o zabójstwo tamtejszej mieszczanki. Kilka aktów z 1580 r. mówiących o kontaktach Kochanowskiego z jego lubelskimi patronami, a zarazem starostami kazimirskimi Firlejami wskazuje na to, iż po śmierci Urszulki nie tylko rozpaczał i pisał żałobliwe Treny, ale również brał aktywny udział w życiu zewnętrznym.

Najciekawszy lubelski dokument do biografii Kochanowskiego udało mi się odnaleźć dopiero na początku bieżącego roku. Jest to krótka notatka w rachunkach wydatków miasta Lublina, źródła zresztą przeciekawego, bo informującego na przykład, jaką łapówkę dostał który ze szlacheckich urzędników, ile wydano na spalenie podpalaczki czy ile gruszek zwanych koniakówkami dostał od miasta opat sieciechowski za to, że wypożyczył swych trębaczy na uroczyste przyjęcie króla.

W rachunkach tych w rozdziale „Podwody" i pod datą 4 lipca 1563 r. (w niedzielę po oktawie po nawiedzeniu Panny Marii) zapisano po łacinie: „Dalej tamże w Brześciu odnośnie do 4 koni ze szlachetnym Kochanowskim — 3 zł 6 gr".

Każde słowo wymaga tu komentarza. Wymieniona miejscowość jest niewątpliwie Brześciem nad Bugiem, miastem, które było ważnym punktem na drodze z Litwy do Polski. Kochanowski lato 1563 r. spędził jako początkujący dworzanin na dworze królewskim na Litwie. Teraz jechał zapewne z rozkazu Zygmunta Augusta przez Brześć i Lublin do krakowskiej stolicy, o czym dotychczas zupełnie nie wiedziano.

„Szlachetny" było określeniem szlachcica uboższego i nie posiadającego godności ziemskich. Odpowiada to ówczesnej sytuacji poety, który posiadał zaledwie pół wsi i był świeżo mianowanym sekretarzem królewskim. Przy Kochanowskim brak w notatce imienia, ale nie było w 1563 r. innego dworzanina o tymże nazwisku, boć przecież Mikołaj Kochanowski, kapelan królewski, musiałby występować z tytułem „wielebny".

Na koniec pytanie: po co pisarz miejski lubelski zanotował 3 zł 6 gr wydanych na podwody, w dzisiejszym rozumieniu jakby na delegację dla Kochanowskiego? Otóż dawny staropolski złoty, choć liczył tylko 30 gr, miał sporą wartość. Za 96 gr, tj. wartość podwody dla Poety, można było w 1563 r. kupić np. 5 par butów lub 3 cielaki.

Tak więc trzydziestoletni Kochanowski występował w Lublinie jako poważny wysłaniec królewski. Zresztą identyczną sumę wydano w ramach podwód na jego przyjaciela i wyższego rangą dworzanina — Łukasza Górnickiego. Górnicki, znany nam jako pisarz i twórca „Dworzanina" jechał nieco wcześniej (30 maja 1563 r.) jako bibliotekarz Króla Jego Mości z Brześcia przez Lublin. Ten fakt paralelnej jazdy obu przyjaciół zdaje się dodatkowo potwierdzać, że występującego w notatce Kochanowskiego trzeba utożsamiać z Poetą. Lakoniczna notatka jest o tyle ważna, że stanowi jedyne dokumentalne źródło mówiące o tym, że Kochanowski jednak wykonywał pewne powinności wynikające z obowiązków dworzanina królewskiego, w skład których wchodziły m. in. podróże w sprawach władcy.

Czy notatka lubelska jest jedynym zapisem mówiącym o powinnościach dworskich Poety? — Otóż istnieją dwie notki warszawskie z 1574 r. mówiące o tym, że łożniczy królewski Jan Kochanowski został wysłany do ziemi sandomierskiej dla przejęcia wioski na rzecz skarbu. Ale podówczas Poeta był już sławnym człowiekiem i wydaje się wątpliwe, aby mógł pełnić dość mierną w dworskiej hierarchii funkcję łożniczego królewskiego. Zapewne był nim jeden z około 20 Janów Kochanowskich, którzy żyli w czasach Poety.

Książki ● Książki ● Książki ● Książki ● Książki ● Książki ● Książki ● Książki ●

Kto przeniesie miłość

PO SKĄPYCH przekładach rozsianych w pismach społeczno-kulturalnych i literackich nareszcie doczekał się László Nagy wydania swoich wierszy w książce. Ukazały się one w serii „Humanum est" Wydawnictwa Literackiego pod tytułem „Kto przeniesie miłość", w wyborze Romany Gimes, przekładzie Tadeusza Nowaka i Bohdana Zadury. Niestety, poeta tak związany z kulturą polską i dla tej kultury zasłużony (z racji przybliżania czytelnikowi węgierskiemu współczesnej poezji polskiej, m. in. utworów Zbigniewa Herberta) już nie zobaczył (zmarł w 1978 r.) swojej pierwszej książki po polsku.

Pierwszy zbiór wierszy Nagya pt. „Zniknij bólu!" („Tunj el fájás!") ukazał się w 1949 roku i, jak się okazało, z tym „bólem" i bólem dosłownym brał się poeta za bary do końca swego życia. Wyniósłszy z chłopskiego, rodzinnego domu kult dla słowa drukowanego, w twórczości swojej pozostał wierny dziedzictwu chłopskiemu, zachował łączność z tradycją kulturową i nie przeżywał zawiłości alienacyjnych. Był Nagy realistą opierającym się na wartościowych doświadczeniach z przeszłości, wynoszącym z kraju lat dziecięcych i młodzieńczych bogate zasoby przeżyć i przemyśleń wiejskich, które stały się dla niego głównym tworzywem literackim. Nieznaczny wpływ na poezję autora „Hymnu o każdej porze" („Himnusz minden idoben") miała awangarda, szczególnie konstruktywizm, od której przejął swobodną postawę wobec kanonów strofy i rymu, co najbardziej odpowiadało jego osobowości i zainteresowaniom: poetyckim i plastycznym.

Chętnie też poeta wprowadzał do wiersza codzienny język środowiska chłopskiego (nie gwarę), język żywy i prawdziwy: „Nie poznajesz mnie i ja sam siebie nie poznaję / rozgniata mnie potęga silniejsza od mojej szczęki"; „Dobrze byłoby wierzyć, że dobry był kielich ten / jak koń dla jeźdźca, jak dobrze może być wszystko / co wyszarpnąć jeszcze zdążyliśmy"; „Dziadku, choć tutejszy jesteś, ale czapę masz baśniową". Z realiów wydobywał ciągle, ale nie bezpośrednio, liryzm, jakby podskórny, ożywiający „kościół przy kościele" i tak liczne „skróty" epiczne, niedopowiedzenia, celowe pauzy i nagłe, zaskakujące niekiedy zamknięcia. Zwartość zestawień przybiera czasami postać zbliżoną do aforyzmów, tak znamiennych w dawnej, poważnej twórczości ludowej każdego narodu. Taki chociażby skrót życia ludzkiego: „gościńcem z jarmarku nie będzie śmierć nasza" — przed nadejściem kresu życia, kiedy to ostatecznie „nie będzie śmiercią, którą można się chwalić".

W ostre, surowe, a czasem nawet okrutne relacje ze spraw codziennych wplata się niekiedy motyw krajobrazowy jakby naturalna rzecz piękna, zdobiąca marginesy egzystencji człowieka. Ale i taki motyw liryczny twardo ujmuje poeta:

Potężna jest ta ziemia w trawach
szczęsna od deszczu który wzbiera
jakby się nigdy nic nie stało
i nie trawiło ciała ciało
(„Moja mowa senna")

Z poezji tej zawsze wyłania się skomplikowany obraz przeżyć i rozważań człowieka naszej epoki z jej antynomią sztuki i techniki, piękna życia i jego znikomości czy przelotności. Wiersze-miniatury, wiersze-wyznania, wiersze-rozważania — powierzają czytelnikowi najbardziej intymne nastroje i przeżycia człowieka, stanowią liryczną kronikę współczesności, stworzoną piórem poety-humanisty.

Polski wybór poezji Nagya uwzględnia to, co najwartościowsze w jego poetyckim dorobku, choć osobiście odczuwam brak jego ostrych, skondensowanych i ponurych w nastroju wierszy z tomów „Zaręczony słońcu" („A nap jegyese") i „Rozkosz niedzieli" („A vasárnap gyonyore"). Nagy należy do poetów trudnych do przekładu. Jego klarowny wiersz nie ucieka się na ogół do tradycyjnych rozwiązań formalnych z uwagi na swój specyficzny język i poetykę, przez co nastręcza trudności tłumaczowi. Dlatego dobrze się stało, że Wydawnictwo Literackie zdecydowało się dokonać przekładów filologicznych, a te z kolei powierzyć dwom poetom: Tadeuszowi Nowakowi i Bohdanowi Zadurze.

„O znakomitym zmyśle redaktorów świadczy, że znaleźli idealnego odtwórcę. [...] Nowak wyczuł język oryginału, który w wersji polskiej odpowiada bardziej filozoficznemu, skłaniającemu się do epiki i bardziej zwartemu rodzajowi węgierskiej ludowości. [...] Z podobnie jednoznacznym zachwytem można się odnieść do niemal wszystkich przekładów Bohdana Zadury..." (przekład Hanny Kuźniarskiej) — pisał Gyorgy Spiró w numerze 4/78 węgierskiego miesięcznika „Nagyvilág" o przekładach dokonanych, przez obu poetów, dla „Antologii poezji węgierskiej". Zdania te są aktualne i w tym przypadku.

Należy zwrócić uwagę, że książka poetycka opatrzona jest posłowiem pióra Tadeusza Nowaka i zawiera także wiersz — w hołdzie zmarłemu poecie — napisany przez Gyorgya Somlyó (poeta, tłumacz m. in. utworów Tadeusza Różewicza). Wydaje się, że ten ostatni precedens wart jest naśladowania w następnych zbiorach wydawanych w tej serii.

Paweł Gembal

László Nagy: Kto przeniesie miłość — wybór Romana Gimes, przekład Tadeusz Nowak i Bohdan Zadura, Kraków 1979 r.

Tadeusz Chróścielewski

PRZED KAMIENICĄ POD ŚW. KRZYSZTOFEM W KAZIMIERZU

Tu, gdzie raki zimują i mężobójczynie
Obnoszą ścięte głowy, z których zmierzch krwią płynie,

Gdzie palma rośnie z muru obok palmy z cienia —
Dryblas Krzysztof, spójrz, taszczy Dzieciątko z kamienia.

Iż Dzieciątko z kamienia, ciąży mu nieznośnie,
Przez co Krzysztof wrósł w kamień i z dawna w nim rośnie,

A z Krzysztofem akanty, serduszka, sterczyny
Dorastają do ciemnej, wszechrzecznej godziny.

Wpierw ta rzeka, ciemniejsza niż czarny aksamit,
Wypełni się moimi snami i jawami

I porwie w zapomnienie mocniejsze od chmielu...
Lecz ratunek w Krzysztofie. — Święty Chrystofelu!

Przynieś mnie, ale biegiem, przez nurt na barana
(Będę lżejszy, zaręczam, niż oddech, niż piana)

I trzymaj mnie wysoko nad głową, retmanie,
Aby mnie nie zmoczyło wieczne zachlapanie,

Żebym tam nie zapomniał, jak słońce rozjarza
Trzy krzyże uniesione nad stokiem Grodarza

I dosłyszał z zawodzia skroś czarne szuwary,
Jak buczą w Kazimierzu organy u fary.

Bohdan Zadura

KAZIMIERZ 77

Mole jedzą zapaski Pająki pstrzą płótna
Pan Antoni fotele wyplata z wikliny

(Wszystkim daje prezenty gdy ma imieniny)
Magazyn idę wietrzyć aby zbiór nie zbutwiał

Oś ziemi skrzypi i klasztorna furta
Orzech pod stopy mi pada Już jesień

O ojciec gwardian przez wirydarz niesie
„Dzieci wszechświata" Hoimara von Ditfurtha

PRZED NADZWYCZAJNYM...

JEST TERAZ WIĘKSZA ŚWIADOMOŚĆ

UMÓWIŁEM się na rozmowę z człowiekiem młodym, a od ośmiu miesięcy już naczelnym dyrektorem największych zakładów azotowych w kraju. Mgr inż. Tadeusz Piasecki miał w 1964 roku 23 lata, kiedy po studiach w Politechnice Wrocławskiej rozpoczął pracę w Puławach. Lublinianin z pochodzenia, był stypendystą Zakładów Azotowych. Zaczął jako inspektor nadzoru inwestycji, był starszym mistrzem w Wydz. Syntezy Amoniaku I, kierownikiem WS Amoniaku II, a następnie kierownikiem tego zakładu, szefem produkcji już całych „Azotów", wicedyrektorem do spraw inwestycyjnych, dyrektorem technicznym i wreszcie po odwołaniu, na żądanie załogi, poprzedniego naczelnego w październiku, zgodnie z życzeniem nowych związków od 1 listopada 1980 roku został dyrektorem naczelnym mając wtedy 39 lat. Bywa, że ktoś mniej znany, kto nie musiał się nigdy nikomu narazić, łatwiej uzyskuje społeczne zaufanie. Skąd więc ta jednomyślność załogi?

TADEUSZ PIASECKI: — Nie musiałem mieć złej opinii u ludzi, wśród których pracowałem. Moja praca była znana większości załogi. Nie byłem postacią anonimową, kolejne awanse, zasięg mojego działania i odpowiedzialności obejmowały różne działy zakładów, ludzie to sobie kojarzą, a nie mają zaufania do przywożonych „w teczkach".

TADEUSZ JASIŃSKI: Mieliście więc w tym wielkim przedsiębiorstwie samych tylko przyjaciół i zwolenników?

T. P.: — Miałem i mam także wielu wrogów, część ludzi zepewne jest mi przeciwna, a w każdym razie nie we wszystkim chce mnie wesprzeć. Nastroje się mogą zmieniać.

T. J.: — A jednak to właśnie was przedstawiciele zakładowej organizacji partyjnej wybrali delegatem na IX Nadzwyczajny Zjazd PZPR.

T. P.: — Byli interesujący kontrkandydaci; niestety, robotnicy nie chcieli być wybierani, ostatecznie sześciu towarzyszy na liście kandydatów pozostało...

T. J.: — W końcu wybrano dyrektora.

T. P.: — W kolejnych głosowaniach szanse się zmieniły, tak, ostatecznie otrzymałem tych głosów dużo i wybór przyjąłem. Jest czas, w którym takie zaufanie trzeba sobie cenić, a od odpowiedzialności nie należy się uchylać.

T. J.: — Co trzeba robić, aby posiadać taki autorytet, żeby większość w dyrektorze uznawała swego dyrektora?

T. P.: Nie obawiać się prezentowania poglądów, z którymi inni się nie zgadzają.

T. J.: — W ostatnich miesiącach nie zawsze to wystarcza, czas był i jest niespokojny. Macie partnerów w obu związkach zawodowych, są poszczególne osoby, grupy, które nierzadko wychodzą ze sprzecznymi koncepcjami...

T. P.: — Boli mnie, że niekiedy jednostkowe problemy są rozdmuchiwane, mimo że w skali wielkiego przedsiębiorstwa mało znaczą, a odsuwane bywają inne, zdaniem wielu: priorytetowe. Konieczna jest selekcja problemów, ich stopniowanie.

T. J.: — Przecież i dawniej to się zdarzało. Teraz jest to zrozumiałe, powtarzam, czas mamy niespokojny.

T. P.: — Warto mówić o mentalności wielkiej załogi, składającej się jednak i z mniejszych organizmów. Mówić o kształtowaniu modelu myślenia. Zakładowy NSZZ „Solidarność" wciąż jeszcze kształtuje swój charakter, nie przeszedł w pełni do pracy wewnątrzzwiązkowej, połączonej z celami całego kombinatu, a związek branżowy jest w mniejszości. Konieczna jest większa konsolidacja załogi, zrozumienie integracji i płynących z tego pożytków. Niektórzy ludzie nie zdają sobie sprawy z wzajemnych powiązań funkcjonalnych, krytykują kolegów zza miedzy, z innego działu produkcji, a u siebie nie dostrzegają niczego, co może utrudnia pracę tamtym i innym współpracownikom. Potrzebne są czynniki społeczne, nie tylko partyjne, ale i związkowe, aby wciągnąć wszystkich do dialogu i dyskusji, musimy wspólnie nareszcie poznać skomplikowane powiązania całych zakładów. Nie można popierać żądań i postulatów każdej grupy z osobna, trzeba je rozpatrywać w powiązaniu z całością interesów załogi i przedsiębiorstwa. Łagodzenie sprzeczności interesów, to podstawowa trudność, której rozwiązywania musimy się wspólnie nauczyć.

T. J.: — Czy z tą atmosferą w Zakładach Azotowych jest aż tak źle?

T. P.: — Nie, jest całkiem dobrze, ale pragnę, aby było wyraźnie lepiej. Nie boję się powiedzieć, że w obecnej sytuacji spotyka się jednostki odgryzające się za własne niepowodzenia i rozterki życiowe, którym dotąd sami nie zaradzili. Demagodzy są wśród nas. Wprowadza to niekiedy duże zdenerwowanie, gdy naprawdę potrzebna jest spokojna praca. Jeśli uda się zintegrować załogę wokół jej celów produkcyjnych i socjalnych, gdy nastąpi pełniejsze zespolenie, efektem będą dobra praca i płaca.

T. J.: — Rozumienie celów całej załogi i przedsiębiorstwa przez jej członków to pragnienie ambitne, choć, jak mi się wydaje, zupełnie podstawowe, a szerzej? Dziś często kłócimy się o zaszłości i cele ogólnonarodowe. Zakładów Azotowych np. nie można odrywać od upragnionych wyników polskiego rolnictwa.

T. P.: — Ależ to jest zrozumiałe! Dobre porozumienie wewnętrzne sprzyja jednak szerszemu. Mówiłem o demagogii, tej wielkiej, ale bywa i mniejsza, a przecież szkodliwa i paraliżująca. Słyszymy zdania: „nie możemy dobrze pracować, nie możemy nic zrobić, bo nie mamy np. narzędzi, surowców itp.". Robotnicy i nadzór mówią prawdę, ale w obecnej sytuacji musimy przestawić to rozumowanie, pomyśleć, co możemy zrobić, aby przy tych brakach uzyskać jednak jak najlepsze efekty. A wracając do waszej kwestii, powinniśmy zdobyć świadomość, że jesteśmy trybami w jednej wielkiej machinie. Nasze żony są zdziwione, że brakuje pończoch i rajstopów. A przecież do tego przyczyniliśmy się pośrednio i my, ich mężowie, bo Zakłady Azotowe nie dostarczyły Gorzowowi i innym fabrykom chemicznym kaprolaktamu, a tamte przemysłowi włókienniczemu i dziewiarskiemu włókien sztucznych. Nam zimą górnicy nie nastarczyli węgla, brakowało też energii elektrycznej, w pewnych okresach gazu ziemnego. Posiadamy jedynie własną wodę, własne powietrze, ale tamte trzy czynniki muszą nadejść do nas z zewnątrz. Do winy zatem możemy się nie poczuwać, ale z powiązań z całą gospodarką zdawać sobie sprawę. Jeżeli połowę wszystkich nawozów azotowych w kraju wytwarzamy właśnie my, a uzyskujemy ich w obecnych warunkach kooperacyjnych za mało, to nie możemy nie pojmować, jaki ujemny ma to wpływ na wyniki rolników. Skracanie planowych

remontów oddziałów, niezależnie od braków części zamiennych i wszelkich materiałów, które winne jest nam hutnictwo, chemia itp., to w pewnej części jest w naszych możliwościach, ale ta podzielność naszej gospodarki...

T. J.: — Premier Jaruzelski stara się scalić tę Polskę resortową, czy jak nazwaliście niedawno w jednym z wywiadów branżową.

T. P.: — Może to będzie miało dobry wpływ na powiązanie węzłów kooperacyjnych. Na razie wszystko, co gnębi całą gospodarkę dotyczy także naszego kombinatu.

T. J.: — Może więc mała reforma i zmiany strukturalne dadzą pożądane efekty?

T. P.: — Uproszczenie naszego systemu gospodarki jest konieczne. Nadmierny centralizm już jakby trochę przygasł. Zauważcie, rozmawiamy wiele godzin, a ze zjednoczenia, z ministerstwa, od nikogo ze stolicy nie miałem telefonu. A dawniej? Już z tego widać, że ta nadmiernie przykrywająca i dusząca „czapka" zmieniła styl działania.

T. J.: — Ale i z dołu, no, z poszczególnych zakładów i wydziałów usłyszałem tylko dwie rozmowy...

T. P.: — Chcę i muszę mieć zaufanie do moich zastępców, do kierownictwa w poszczególnych jednostkach produkcyjnych. Jeżeli szef decyduje o wszystkim, jest złym dyrektorem, a w dodatku obezwładnia cały zespół kierowniczy, pozbawia kadrę inicjatywy, chęci poszukiwania rozwiązań. W psychologii pracy to podstawowa zasada. Wszelka centralizacja władzy, także w przedsiębiorstwie, powoduje wypaczenia w mentalności kadry i całych zespołów pracowniczych. Demoralizuje, bo kierownicy niższych szczebli przerzucają odpowiedzialność w górę. Upraszczając, brzmi to wtedy tak: „ja bym to załatwił, tylko dyrektor nie chce". Pragnę to u nas zmienić. Uważam, że np. sprawy bieżącego remontu pomieszczeń socjalnych przy jakimś dziale powinny być rozwiązywane tam, gdzie one są. To nie powinien być problem dla mnie, ani dla moich zastępców.

T. J.: — A wracając do reformy?

T. P.: — Powtarzam, przede wszystkim uproszczenie systemu gospodarki, spłaszczenie struktur organizacyjnych, zmniejszenie u góry wszelkiej biurokracji, nadawanie jedynie kierunków, proporcji, łagodzenie i znoszenie partykularyzmów branżowych. Polskę trzeba rozbranżować! To, co będzie centralne, musi przede wszystkim uwzględniać współzależność wszystkich dziedzin gospodarki. Nade wszystko ceny, one muszą oznaczać rzeczywistą wartość produktów, być czynnikiem regulującym całość, stymulującym potrzebną wytwórczość.

T. J.: — Właściwie cały czas mówimy o świadomości.

T. P.: — Tak pokierowaliście naszą rozmową. Od niej jednak, od tej świadomości szeroko rozumianej, prawie wszystko zależy, także owe pożądane przywrócenie więzi kooperacyjnych, zwiększonej produkcji nawozów dla rolnictwa, składników dla innych przemysłów. Ja się nie skarżę, odczuwam, że świadomość ludzi jest obecnie większa, niż kiedykolwiek przedtem, jest w niej większa autentyczność i prawda, szersze spojrzenie. Np. system wybierania w partii, w związkach spowodował konieczność dokonywania rzeczywistego wyboru; bywało, że najlepszych pośród dobrych. Wybrani z kolei wiedzą, że ciąży na nich określony obowiązek przed członkami partii i kolegami. Ta rozbudzona świadomość sprawiła jednak, że część spośród porządnych pracowników boi się wziąć na siebie ten obowiązek, tę odpowiedzialność. Lękam się, aby ci, tak cenni ludzie, dla spokoju nie przekształcili się w tzw. zwykłych zjadaczy chleba. Na zebraniach odczuwam jednak najczęściej autentyczność ludzkich postaw. Wprawdzie demokracja bywa czasem męcząca, ale ta autentyczność zachowań i szczerość wypowiedzi nagradzają nas za to sowicie. Wielu pozostaje jednak tylko obserwatorami; to musi niepokoić.

T. J.: — Może nie potrafią oswoić się z nową atmosferą w partii, może obawiają się, że ich prawdy nie zostaną uznane, właściwie rozumiane?

T. P.: — Może. Jest w tym jakby wyczekiwanie.

T. J.: — Przez osiem miesięcy kierowania zakładami nie utraciliście powszechnego zaufania załogi. Co trzeba czynić, aby utrzymać tę przychylność towarzyszy, członków swego związku zawodowego i „Solidarności", jednym słowem całego organizmu społecznego?

T. P.: — Nic, być wciąż sobą, być takim, jakim ludzie człowieka znali zanim został naczelnym. Przedtem obowiązywało porzekadło „łaska pańska na pstrym koniu jeździ", a teraz trzeba pamiętać, że należałoby raczej powiedzieć, że „łaska pracowników w stosunku do dyrektora także na pstrym koniu jeździ".

T. J.: — Tradycyjnie pyta się delegatów, z czym pojadą oni na IX Zjazd.

T. P.: — Nie odpowiada mi takie ujęcie. Wolę, abyście zapytali, jakie kierunki będę reprezentować. Muszę wrócić do omawianego tu już stopnia i stanu świadomości, także w sferze ekonomicznej. U nas dokonuje się przede wszystkim sumowanie potrzeb, a to nie jest jeszcze program. Rejestr potrzeb musi być zestawiony z sumą możliwości, inaczej będą to zamierzenia bez pokrycia. Podstawową sprawą, wynika to również z intencji tych, którzy powierzyli mi mandat delegata, jest wytyczenie drogi wyjścia z kryzysu, to zresztą najważniejsze zadanie Zjazdu. Musi on ustalić strukturę, model gospodarki w obecnych i przyszłych warunkach. Te kwestie na Zjeździe będą mnie interesować.

T. J.: — Dziękuję za rozmowę. A telefon z Warszawy nie zdźwięczał do końca naszej rozmowy.

T. P.: — Tak, milczy...

W teatrze przed kanikułą

Maria Bechczyc-Rudnicka

GOŚCINNOŚĆ jest na pewno niepoślednią cnotą, wszelako źle pojętą gościnnością jest wmawianie sobie i gościom, jakoby dopiero z chwilą ich przybycia do naszego domu zaczęło się w nim życie nobliwe.

Taką refleksję nasunęła mi notatka opublikowana przez „Sztandar Ludu" przed niedawną premierą „Marii Stuart" w Teatrze im. J. Osterwy, przeczytaliśmy bowiem w owym tekście m. in. passus następujący:

„Maria Stuart" Juliusza Słowackiego pojawia się w repertuarze teatru nieprzypadkowo. Obejmując jesienią dyrekcję Ignacy Gogolewski upomniał się w exposé o klasykę na tej scenie, a zwłaszcza o dawno nie oglądanego w Lublinie Słowackiego. Rzeczywiście — jeśli sięgnąć pamięcią wstecz, kołacze się gdzieś „Mazepa" lub „Kordian", ale sprzed wielu już lat.

Kołacze się gdzieś... „Kordian". No cóż, dezynwoltura powyższej „informacji" niejako zmusza mnie do poprzedzenia oceny obecnego spektaklu — faktograficznym wyciągiem z powojennej kroniki lubelskiej sceny. Oto więc daty premier wystawionych na niej utworów Słowackiego wraz z nazwiskami inscenizatorów.

17 IV 1947
— „Maria Stuart". Reżyser — Irena Ładosiówna, scenograf — Jerzy Torończyk.

1 IV 1951
— „Balladyna". Reżyser — Zofia Modrzewska, scenograf — J. Torończyk, współpraca scenograficzna — Edward Grajewski i Eugeniusz Pol.

26 III 1955
— „Mazepa". Reżyser — Wanda Laskowska, scenograf — J. Torończyk.

29 XI 1956
— „Fantazy". Reżyser — Jan Kreczmar, scenografia: J. Torończyk i Teresa Targońska.

4 X 1958
— „Maria Stuart". Reżyseria i scenografia: Jerzy Ukleja.

18 II 1959
— „Zawisza Czarny". Opracowanie dramaturgiczne i reżyseria: Jerzy Goliński, scenograf — Janusz Warpechowski.

19 II 1966
— „Horsztyński". Inscenizacja i reżyseria: Józef Gruda, scenografia: J. Warpechowski.

5 IX 1967
— „Mazepa". Reżyser — Kazimierz Braun, scenograf — J. Torończyk.

6 IX 1970
— „Kordian". Reżyser — Adam Hanuszkiewicz, współpraca reżyserska — Wojciech Zeidler, scenografia: Xymena Zaniewska, Mariusz Chwedczuk.

16 IX 1971
— „Balladyna". Układ tekstu i reżyseria: Józef Jasielski, scenografia: Teresa Targońska.

Tedy w dwudziestoczteroletnim okresie 1947—1971 zrealizowano w lubelskim teatrze dramatycznym dziesięć inscenizacji dzieł Juliusza Słowackiego. A realizacje sztuk Wyspiańskiego, Norwida... Nie, stanowczo sprawa wielkiej klasyki narodowej przedstawiała się tu niezgorzej.

Wyciąg mój kończy się inscenizacją z r. 1971. Owszem, prawdą jest, że w ciągu kolejnych lat dziewięciu daje się zaobserwować przechylenie repertuaru Teatru im. Osterwy na stronę dramaturgii współczesnej, lecz jest również prawdą, że w końcu to przecie za dyrekcji Z. Sztejmana postanowiono sięgnąć ponownie do dramaturgii Słowackiego — projektując na sezon 1980/1981 wystawienie „Lilli Wenedy"; a wolno chyba było uważać ów projekt za całkiem konkretny, skoro o inscenizacji tej niegranej w Lublinie tragedii rozmawiano już z reżyserem — Józefem Słotwińskim — w sposób wiążący. Koncepcja upadła po zmianie dyrekcji. W exposé dyrektora I. Gogolewskiego wygłoszonym w dniu uroczystej „inwestytury" nie ma więcej mowy o „Lilli Wenedzie", usłyszeliśmy natomiast o „Fantazym" (z domniemaniem, iż rolę tytułową będzie grał Ignacy Gogolewski). Tyle w imię rzetelności „publicity".

A więc „Maria Stuart"... Oczywiście, jakież tu mogą być zastrzeżenia, jeśli jednak nie to, że pojawienie się jej w repertuarze na miesiąc przed wakacjami, implikujące „dogrywanie" w sezonie 1981/1982, odsunęło przyrzekaną realizację „Fantazego" na czas bliżej nieokreślony i — co za tym idzie — Lublin znów stracił szansę rychłego oglądania znakomitego aktora Ignacego Gogolewskiego na własnej scenie, nie zaś wyłącznie na ekranie TV.

Do realizacji „Marii Stuart" zaproszono długoletniego dyrektora warszawskiego Teatru Polskiego, Augusta Kowalczyka. Oceniając to pociągnięcie niezależnie od poczynionych wyżej uwag na temat reperturu Teatru im. J. Osterwy, stwierdzamy z przyjemnością, że otrzymaliśmy w rezultacie spektakl, który można zapisać na dobro kończącego się sezonu. Jest na ogół wierny dziełu poety oraz świadczy o solidnej codziennej współpracy reżysera z aktorami, obyczaj raczej rzadki wśród przyjezdnych inscenizatorów, odkąd nauczyli się ustępować „czarną robotę" asystentom.

Co chciałam powiedzieć, mówiąc: spektakl na ogół wierny dziełu...?

Ma się rozumieć August Kowalczyk skorzystał z uświęconego zwyczajem prawa reżysera do skreśleń w tekście oryginału, powiem nawet, że skreślił sporo wersów. Większość jego skreśleń dobrze służy zwartości akcji. Ale moje „na ogół" sygnalizuje jeszcze coś innego, a mianowicie — ujęcie spektaklu „w klamrę", sporządzoną w przemyślny sposób ze słynnego monologu Astrologa

Nicość nauki — gorzki owoc doświadczenia!
Myśleć — zgłębiać — i potem wszystkiemu
nie wierzyć...

Reżyser zamienia scenę I aktu II w Prolog (który Astrolog mówi przed kurtyną), kończy zaś spektakl kwestią:

Przeklinaj los, lecz przestań dręczyć się
z sumnieniem —
Gwiazdy winne, szaleństwo walczyć
z przeznaczeniem!

Cytowana kwestia została wzięta z tegoż monologu Astrologa (z inną kolejnością zdań) i przekazana w finale — uchodzącemu Botwelowi.

Otóż o ile spektakl Augusta Kowalczyka jest — powtarzam — na ogół wierny oryginałowi, w tym sensie, że nie ma w nim deformacji artystowskich, o tyle wprowadzenie wyżej opisanej „klamry" uważałabym za kontrowersyjne. Astrolog przecie w młodzieńczej tragedii Słowackiego, zdumiewająco dobrze skonstruowanej, wydaje mi się postacią przede wszystkim „instrumentalną". Przepowiednie jego determinują przełomowe decyzje Darnleja i Botwela. Henryk, przystając na zgładzenie Rizzia, rozkazuje Nickowi:

A ty, mały trefniściu, spiesz do Astrologa;
Niech powie, jaki skutek odniosą zamiary.

A w stosunku do Botwela Astrolog wręcz wykona zadanie dramaturgiczne podobne do roli, jaką odegrają przepowiednie Czarownic w „Makbecie".

Astrolog został poza tym wyposażony w niemały bagaż intelektualny, na którym młodemu poecie musiało bardzo zależeć. I tu czyha na inscenizatora poważne niebezpieczeństwo. Wypowiedzi bowiem stworzonego przez Słowackiego filozofa XVI wieku, funkcjonalne dramaturgicznie w akcie II tragedii i wzbogacające jego koloryt historyczny, przeniesione do Prologu — stają się już nie tylko wypowiedziami postaci, lecz komentarzem do wszystkich prezentowanych na scenie wydarzeń. Powstaje tedy pytanie, czy rozważania o przeznaczeniu, zwalniającym rodzaj ludzki z odpowiedzialności za popełniane zbrodnie, czy takie rozważania należy w naszej dobie specjalnie eksponować?

Juliusz Słowacki — „Maria Stuart". Krystyna Królówna w roli tytułowej i Henryk Sobiechart — Rizzio

Fot. Stefan Ciechan

Wydaje mi się, że biorąc tę kwestię pod uwagę, warto by może poprzedzać spektakle dla młodzieży (a będzie ich z pewnością dużo) — króciutkimi prelekcjami, które by potrafiły ustrzec widownię przed niewłaściwym odbiorem idei zawartych w „Prologu".

W skład „klamry" inscenizacyjnej wchodzi też migawkowe ukazanie, tuż po podniesieniu kurtyny, Botwela — na domniemanym *rendez-vous* z Marią. Prawdę mówiąc, nie bardzo widzę w oryginale uzasadnienie dla tej „pantonimy". Maria kocha rycerza smętnego oblicza początkowo „z daleka" (v. jej dialog z Paziem w scenie VI aktu II i monolog w scenie VII). Ale to moje zastrzeżenie jest, rzecz prosta, znacznie mniej ważne od poprzedniego.

Żeby już skończyć „dyskusję" z inscenizatorem — parę słów o scenografii. Powiem otwarcie: moim zdaniem, nie podnosi ona rangi przedstawienia. Anonimowa dekoracja wytwarza raczej więzienny nastrój z „Marii Stuart" Schillera (bez racji, skoro sam reżyser słusznie skreślił „wizyjny" monolog Marii ze sceny III aktu V). Być może bardziej przytulne, kameralne wnętrze byłoby dobrym kontrastem dla następujących po sobie ponurych czynów? Kostiumy, firmowane przez świetnego scenografa, Teresę Roszkowską, są w tym przypadku jakby wyjęte z różnych konwencji plastycznych (nawet trzy kostiumy Marii, choć one są najładniejsze).

Miało być już tylko parę uwag krytycznych — o scenografii, ale proszę mi darować jeszcze jedną — o muzyce (Mieczysława Mazurka). Według mnie, jest jej o wiele za dużo jak na spektakl dramatyczny. Leitmotivy, powracające zbyt często, przywołują w końcu na pamięć sygnały kryminałów telewizyjnych, zaś podkład muzyczny monologu Henryka w scenie II aktu IV (z fragmencikiem ludycznej melodii charakteryzującej Rizzia) wręcz spłyca tekst pełen grozy.

Obawiam się, iż zarobię niebawem na przydomek starego zoila, jeżeli nie przejdę natychmiast do plusów przedstawienia. Oto więc największy z nich, odnotowany przeze mnie na wstępie relacji: gra zespołu aktorskiego.

Na czoło wysuwa się, z natury rzeczy, Krystyna Królówna, występująca u nas gościnnie w roli tytułowej. Tu muszę wyznać iż osobiście, jako historyk z wykształcenia, przekładam młodzieńczą tragedię Słowackiego nad Schillerowską. Schiller bowiem dał się uwieść, rzec można, romantycznej legendzie otaczającej piękną królowę Szkocji. Cóż za paradoks, że to Słowacki, pisząc właściwie kameralny dramat psychologiczny, stworzył postać najbardziej odpowiadającą historycznej prawdzie! On bynajmniej nie idealizuje Marii Stuart. Już sam fakt, że nie pokazał jej w okresie bezpośrednio poprzedzającym jej stracenie, pozwala spojrzeć obiektywnie na jej charakter, dostrzegając wady prowadzące do zbrodni. Pozostawiwszy zarazem występnej kobiecie wyrzuty sumienia, Poeta czyni zadość naszemu poczuciu sprawiedliwości w sposób ludzki.

W tych trudnych momentach wewnętrznej walki Krystyna Królówna stanęła na wysokości zadania dzięki wielkiej koncentracji, która charakteryzuje w ogóle jej grę. Jest to zaleta szczególnie cenna w czasach, kiedy modne jest przemawianie do publiczności.

Drugi nasz gość warszawski, Mieczysław Kalenik, gra Botwela jakby nieco zbyt „rzeczowo" zmierzającego do celu obranego po przepowiedni Astrologa. Moim zdaniem, warto było ocalić w tej postaci trochę bajronizmu. Zresztą może ten niedobór jest wynikiem skreśleń w tekście. Tak czy inaczej Kalenik ma doskonałe warunki na rolę Botwela.

Rolę Darnleja powierzono jednemu z najbardziej cenionych aktorów Teatru im. J. Osterwy, Henryk Piotra Wysockiego, na premierze cokolwiek „strindbergowski", już na trzecim przedstawieniu stał się postacią z poetyki Słowackiego i zdobywał aktorowi zasłużony sukces, zwłaszcza sceną, w której płaci za zbrodnię straszliwą udręką psychiczną.

Rola Nicka, po Cydzie i doktorze Lwowie w „Iwanowie", jeszcze raz potwierdza, zdanie że Marek Prażanowski jest bardzo dobrym nabytkiem Teatru im. J. Osterwy. Aktor nie zawiódł w trudnej scenie przedśmiertnej, mimo że obarczono go nadmiernym ruchem scenicznym.

Równie cenny jest dla lubelskiej sceny talent Jerzego Turowicza. Turowicz wyszedł z roli Pazia zwycięsko, a przecież nie odpowiada postaci staturą. W roli tej obsadza się najczęściej aktorkę. Paź, grany przez Turowicza na podkładzie entuzjazmu nieco bardziej dorosłego młodzieńca, zyskuje sympatię widowni.

Nasz *jeune premier* (jak to się drzewiej fachowo w teatrach mawiało), Henryk Sobiechart, niezawodny, gdy go nie sprowadzi na manowce superawangardowa inscenizacja, jest bez wątpienia właściwym aktorem we właściwej roli, odtwarzając postać Rizzia. Świadczy o tym, ma się rozumieć, przede wszystkim dobrze zagrana scena przed przyjściem morderców.

Krystyn Wójcik też bezsprzecznie zasługuje na poklask: ustawiony w Prologu jako komentator spektaklu, w swoich scenach aktu II na szczęście „nie wypada" z roli Astrologa-filozofa, zatroskanego losami świata. Pieczołowicie opracowali powierzone im postacie kanclerza Mortona i łowczego Lindsaja — *respective:* Ryszard Kolaszyński i Roman Kruczkowski. *I last but not least:* powitaliśmy serdecznie w roli Duglasa — Andrzeja Chmielarczyka, dyrektora Teatru Muzycznego, występującego dziś gościnnie na scenie dramatycznej, ongi jego scenie „macierzystej".

Summa summarum — brawo dla całej obsady „Marii Stuart".

P.S. Teatr im. J. Osterwy zakończył swą działalność w sezonie 1980/1981 pięknymi wieczorami poezji Czesława Miłosza, przygotowanymi dla uczczenia przybycia laureata Nagrody Nobla do Lublina na ceremonię nadania mu doktoratu honoris causa Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego.

Roman Kruczkowski reżyser prezentacji pt. „Tak mało powiedziałem" zrealizował układ tekstów opracowany przez Eugenię Herman. Wiersze Czesława Miłosza recytowali: Grażyna Kłodnicka, Hanna Pater, Marek Prażanowski, Andrzej Redosz, Nina Skołuba, Anna Torończyk, Jerzy Turowicz, Krystyn Wójcik, Barbara Wronowska i Zbigniew Wróbel.

W programie wykorzystano nagrane na taśmie fragmenty wypowiedzi i recytacji poety. Słowu towarzyszyły skrzypce, na których Maria Geppert, koncertmistrz P. Filharmonii Lubelskiej im. H. Wieniawskiego, wykonała utwory kompozytorów polskich w opracowaniu Mieczysława Mazurka.

ZNP — czyli Zrozumieć Nauczycielskie Potrzeby

(Dokończenie ze str. 1

Natomiast Ministerstwo Oświaty i Wychowania przygotowało na drugą część Zjazdu cztery znaczące dokumenty: projekt Karty Nauczyciela, projekt Karty Pracownika Szkoły nie będącego nauczycielem, informację o realizacji protokółu ustaleń w sprawie postulatów nauczycieli i pracowników oświatowo-wychowawczych ZNP oraz projekt rządowego programu poprawy warunków materialnych pracowników oświaty i wychowania. Niektóre z tych dokumentów dotarły do szkół jeszcze przed 12 czerwca (tzn. przed rozpoczęciem drugiej części Zjazdu) i bezzwłocznie zostały poddane szerokiej, często krytycznej ocenie. Nikt zresztą nie oczekiwał opracowań idealnych — takie po prostu nie istnieją. Fakt jednak, że owe materiały sporządzono (bodaj po raz pierwszy w historii ministerstwa), należy uznać za kolejne osiągnięcie XXXII Zjazdu ZNP.

Druga jego część odbywała się w sytuacji szczególnie napiętej. List KC KPZR do Komitetu Centralnego naszej partii, XI Plenum PZPR, wreszcie pamiętne plenarne posiedzenie Sejmu z wystąpieniem premiera Wojciecha Jaruzelskiego — zagęściły atmosferę społeczno-polityczną; u wielu wywołało to nieprzyjemny dreszcz refleksji historycznej i osobistej. Byli nawet tacy, którzy wątpili w możliwość normalnego przeprowadzenia końcowej tury obrad ZNP. Okazało się jednak raz jeszcze, iż godność oraz konsekwencja pedagogów polskich usytuowała się ponad emocjami zbiorowymi i indywidualnymi. W tym duchu zredagowano zresztą uchwałę zjazdową, której choćby fragmenty warto przypomnieć: „Oświata, jako nadrzędne dobro ogólnonarodowe, powinna zyskać należną rangę w polityce społecznej państwa. Przyszłość kraju wiążemy z właściwym kształceniem i wychowaniem młodego pokolenia, z prawidłowym funkcjonowaniem całego systemu oświatowo-wychowawczego. Zjazd uważa, iż system ten nie może funkcjonować prawidłowo bez rozumianej całościowo rozbudowy bazy oświatowo-wychowawczej. [...] Zjazd domaga się od rządu Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej:

— zwiększenia w budżecie państwa nakładów na oświatę;

— wprowadzenia stosownych przepisów regulujących sprawę przekazywania budownictwa mieszkaniowego równolegle z inwestycjami oświatowymi;

— priorytetu dla wydawnictw oświatowych, a w szczególności podręczników i lektur szkolnych;

— generalnego rozwiązania problemu specyficznych warunków pracy i życia nauczycieli na wsi".

Delegaci na Zjazd ZNP wystosowali również dwa odrębne listy: do parlamentu oraz do delegatów na IX Nadzwyczajny Zjazd PZPR.

Dokumenty XXXII Krajowego Zjazdu Delegatów ZNP muszą być przy tym oceniane nie tylko jako posłanie parusetosobowej grupy przedstawicieli szkolnictwa, lecz jako pilne memorandum prawie półmilionowej rzeszy pracowników oświaty i nauki. Świadomość takiej perspektywy jest konieczna, by zrozumieć wagę problemów poruszonych podczas obu części nauczycielskich obrad.

Oto bowiem władzom oraz innym grupom zawodowym uzmysłowić należy, iż w socjalistycznym kraju przychodzi nauczycielowi walczyć (!) o jakość swego stanowiska pracy, o szacunek społeczny, o powszechne dowartościowanie.

Obwinia się nader często placówki oświatowo-wychowawcze o niski poziom nauczania, niedostateczną opiekę nad dziećmi i młodzieżą, o dziesiątki mniejszych i większych przywar lub zaniedbań. Mało jednak kto dostrzega ubolewania godne warunki pracy kadry opiekuńczo-wychowawczej, owe przeładowanie liczebne klas, grup przedszkolnych, burs i internatów niedoinwestowanie infrastruktury oświatowej (braki podręczników, lektur, innych środków dydaktycznych) negatywną selekcję do zawodu nauczycielskiego itp. itd. Społeczeństwo — nie bez winy środków powszechnej informacji — przyzwyczaiło się oceniać uciążliwość pracy pedagogów jedynie (lub przede wszystkim) w aspekcie 6-godzinnego (średnio) dnia pracy oraz ferii. Ten wykwintny, powiedziałbym, obrazek od lat już wielu kłóci się z realiami, o których wspomniałem. „Wmawianie nauczycielom, iż mają dobrze, ponieważ przysługują im dwa miesiące wakacji, to tak, jak przekonywanie rolników, że mają dobrze, gdyż pracują na świeżym powietrzu" — powiedział podczas kwietniowej części Zjazdu ZNP delegat katowicki. Tyle, że rolnikom stworzono już przesłanki godziwej pozycji materialnej, nauczyciele zaś pod tym względem pełnią tradycyjnie rolę outsiderów.

Nikt nie wątpi, że ubiegłoroczne oraz niedawne podwyżki uposażeń zasadniczych obejmowały nierzadko te grupy zawodowe, które w hierarchii płacowej i tak stały dość wysoko. Dysproporcji zatem nie zlikwidowano. Aby nie było wątpliwości: takiego ruchu płac domagały się różne branże NSZZ „Solidarność". Dziś eksperci z „Solidarności" radzi są wypominać nauczycielom ich dążenie do wyjścia z ubóstwa socjalno-bytowego. Paradoks odnowy czy — odnowa paradoksów?

„Nie wysuwamy żadnych nowych żądań — powiedział podczas końcowej części XXXII Zjazdu Delegatów ZNP, prezes Zarządu Głównego, Kazimierz Piłat — żądamy spełnienia tego, co zostało nam obiecane jeszcze w ubiegłym roku. Ponawiamy uporczywie nasze żądania nie ze względów prestiżowych i nie dlatego, że nauczyciele nie są gotowi do wyrzeczeń w imię interesów ogólnospołecznych. Tę skłonność mieli oni możność wykazać aż w nadmiarze, w tej cnocie ćwiczyli się przez całe lata. Czynimy to, mając na względzie dwie elementarne prawdy, które nie mogą być zapomniane w najtrudniejszej nawet sytuacji. Po pierwsze, chodzi tu, bez żadnej przesady — o przyszłość polskiej oświaty. Zawsze o niej decydował nauczyciel [...]. Teraz, w sytuacji kryzysowej, gdy załamała się reforma strukturalna, odczuwane są braki kadrowe, gdy nie ma szans na szybką poprawę bazy, wyposażenia, zaopatrzenia w najniezbędniejsze pomoce, sprzęty — od niego zależy wszystko. Oświacie, nauczycielom potrzebny jest impuls, który pozwoli przełamać kryzys, również psychiczny. Po drugie — chodzi o zasady zwykłej sprawiedliwości, w wymiarze jednostkowym i ogólnospołecznym [podkreślenia — M. J. K.]".

Do powyższej wypowiedzi muszę dodać i to, że z początkiem lat siedemdziesiątych, gdy pracowników niektórych innych zawodów uhonorowano różnymi przywilejami, nauczycielom dodano... godzin pracy (dokładniej: cofnięto część poprzednich przywilejów).

Trzeba także pamiętać, iż mimo napięć, do jakich dochodziło w kraju podczas minionych miesięcy, szkoła była jedną z nielicznych instytucji, która rzetelnie pracowała od początku do końca roku szkolnego. Mógł więc oświadczyć minister oświaty i wychowania, Bolesław Faron, iż „jest to wystarczająca przesłanka dla nas jako dla władzy administracyjnej, byśmy w rządzie o pozycję nauczyciela walczyli, bo jeżeli w ten sposób, a nie poprzez strajki, zademonstrował obywatelską postawę, to należy mu się szacunek i uznanie poprzez podjęcie stosownych decyzji. [...]. Na sprawy oświaty zwrócone są oczy całego społeczeństwa, głównie jednak na sprawy programowe. W sprawach procesu wychowawczego, tak czy inaczej widzianego, nadal społeczeństwo nas nie wspiera. Myślę, że musi nastąpić przeorientowanie świadomości społecznej, że minister oświaty nie jest wyłącznie petentem kołatającym do drzwi innych gabinetów, że jest to partner, któremu powierzono obowiązki koordynacji działań wszystkich na rzecz oświaty [podkreślenia — M. J. K.]".

Są jeszcze inne prawdy godne zapisania, jak chociażby te, iż nauczyciel przebywając w klasie szkolnej pracuje naprawdę, że mając do dyspozycji jedynie kredę, tablicę i trzydzieści kilka rozwichrzonych głów, uporczywie realizuje program nauczania, że — oprócz wiedzy i intelektu — angażuje częstokroć własną osobowość, że pełni wśród młodzieży rolę mediatora między teorią a rzeczywistością...

Wracając do spraw zjazdowych. Zbieżność stanowisk przedstawicieli resortu i kierownictwa Związku Nauczycielstwa Polskiego stwarza wyjątkową szansę: wyprowadzenia z impasu całej oświaty. Szansa ta zasługuje na życzliwość i wsparcie także ze strony Krajowej Rady Sekcji Oświaty i Wychowania NSZZ „Solidarność". Błędem o wymiarze ponadzwiązkowym byłoby — tak sądzę — partykularne odmówienie owego wsparcia. Wspólne stanowisko obu nauczycielskich związków zawodowych wobec przedstawionych przez MOiW dokumentów zobliguje rząd oraz władze polityczne kraju do przywrócenia szkole i jej pracownikom należnego statusu społecznego. Innej alternatywy nie ma.

„Pierwszym etapem całościowego uregulowania spraw oświaty — czytamy w liście otwartym skierowanym do Sejmu przez delegatów na Zjazd ZNP — powinno być uchwalenie statusu prawnego nauczycieli w postaci Karty Nauczyciela i wprowadzenia go w życie z dniem 1 września 1981 r.". Uczestnicy Zjazdu wyrazili stanowczą opinię również w sprawie Karty Pracownika Szkoły nie będącego nauczycielem; dokument ten powinien zyskać ważność od 1 września b. r.

W sprawach płacowych postawiono m. in. warunek, by wyrównanie dysproporcji między średnim uposażeniem nauczycieli a uposażeniem kadry inżynieryjno-technicznej nastąpiło w terminie do 1 września 1983. „W związku z tym zobowiązuje się Zarząd Główny ZNP — głosi uchwała zjazdowa — do wynegocjowania podwyżek zasadniczych uposażeń nauczycieli w trzech zbliżonych procentowo ratach. Wprowadzenie pierwszego etapu podwyżki powinno nastąpić w terminie uregulowanym przez projekt rządowy". Oznacza to stworzenie „marginesu swobody" dla obu naczycielskich związków zawodowych oraz rządu, gdy idzie o ustalenie szczegółów regulacji płac w oświacie. Niemniej termin końcowy tej regulacji renegocjacjom podlegać nie może — wynika on bowiem z porozumień podpisanych jesienią ub. roku.

Co do przyszłościowego rozwiązania spraw płacowych, Zjazd wystąpił z wnioskiem, by regulacja zasadniczych uposażeń nauczycielskich następowała rokrocznie (o ile co roku występowałyby dysproporcje między średnimi płacami pedagogów a średnią płacą pracowników inżynieryjno-technicznych). Szczegóły płacowe — wedle tej formuły — mają zawierać przepisy wykonawcze do Karty Nauczyciela, wydawane raz na rok przez Ministerstwo Oświaty i Wychowania.

Delegaci na Zjazd ZNP wystąpili także w obronie nauczycieli-emerytów i rencistów, domagając się m. in. przeliczenia rent i emerytur tzw. „starego portfela" według obecnie obowiązujących stawek czynnych nauczycieli (termin realizacji — 1 stycznia 1982) oraz 25-procentowego dodatku do emerytury dla nauczycieli tajnego nauczania.

Teraz idzie o to, by powyższe ramowe ustalenia zostały zaakceptowane przez „Solidarność Nauczycielską" i nabrały tym samym charakteru ogólnonauczycielskiego. Jeśli doczekają się one terminowej realizacji bez konieczności „zastosowania wszystkich uprawnień statutowych", wówczas zgodzę się z opinią, iż XXXII Zjazd Delegatów ZNP—Oświata był zdarzeniem historycznym.

Branże kompleksu żywnościowego, służba zdrowia, kultura i oświata właśnie — taka jest ostateczna moja konkluzja — przynajmniej w bieżącej pięciolatce powinny zyskać rangę narodowych priorytetów. Twórczy bowiem wpływ oświaty i nauki na rozwój każdej formacji społecznej okazywał się zawsze bezsporny. Mówiono nawet alegorycznie: „Słuchaj nauki i nie gardź nią, strzeż jej, gdyż ona twym życiem" (Księga Przysłów 4, 13).

Niekoniecznie trzeba być konkrecjaninem, by tak twierdzić, atoli koniecznie trzeba tak czynić by — mieć rację.

Marian Janusz Kawałko

Bogusław K. Poznań. Silenie się na apokaliptyczną wizję z użyciem gromowładnych rekwizytów, posępne „ładności" w rodzaju „trup przez czas pożarty szuka swojej harfy" — czyni z Pana utworów rekwizytornię, której nie udźwignie wątła treść, jeśli w ogóle można w tych wierszach mówić o jakiejś treści. Piramidy, miecze, „wyspy bokiina", mózgowia, nektary, trucizny, „pan milton", gryfy, amfilady i eskadrony karzełków beztrosko zagęszczają tę rupieciarnię przybierając przy tym pozy samodzielnych poetyckich bytów. Gdyby to wszystko przewietrzyć i rozgęścić, gdyby im odebrać rolę poetyckich podmiotów — może by wtedy usprawiedliwiły swoją obecność...

Andrzej P. Lublin. List polecający, jaki dołączył Pan do swoich wierszy, jest znacznie ciekawszy niż one same. Trudno się nie zgodzić, że poezja jest królestwem, jedynym godnym uwagi imperium, a Pana, jako przyszłemu prawnikowi, „pozwoli na wyraźniejsze i głębsze spojrzenie w jego wnętrze". Ale poezji jest kilka: poezja w ogóle, poezja konkretnego poety i... Pana wiersze. Porusza się Pan w nieustającym bólu i mroku, i „boskim zaszczycie", lecz wierszy nie można nawet nazwać tchnieniem parnasizmu — tak są bowiem słabe i pretensjonalne. Próba zejścia w sferę patetycznego erotyzmu to kolejna skrajność, skrajność już estetyczna. Trzeba więc czekać, aż z tych plan wyłoni się, być może, coś godnego programowej intencji.

Piotr G. Lublin. Różewiczowska poetyka sprozaizowanego tekstu, spływającego linijka po linijce regularnym zdaniem, jest kusząca łatwością, lecz także niebezpieczna, zwłaszcza dla epigonów, i to początkujących:

jesteśmy
krzesłom przypisani
krzesłom na pokutę
sobie na nijakość
na drętwotę

To wszystko już straszliwie było, jest poprawne i nijakie, wiersz świadomie wyprany z poetyckości bronić się może jedynie zaskakującą treścią, a już koniecznie pointą. W przytoczonych tu „Krzesłach" owym „przesłaniem" jest niszczące przykucie człowieka do rzeczy, skazanie wieczyste na codzienność. Dawno to odkryto i powielono w tysięcznych przykładach. Aby to pokutne skazanie człowieka ewokować jeszcze raz, trzeba wynaleźć inny rekwizyt niż krzesło, klasyczny przecież symbol bezruchu, inercji...

Janusz J. Łuków. Nie mogłem znaleźć w tych kilkudziesięciu fraszkach i aforyzmach czegoś oryginalnego co z powszechnych prawd, głównie społecznych bolączek, uczyniłoby przedmiot szyderstwa; Bo cóż: „Jest bogaty skarbem taty", albo: „Jedni robią zapasy / Drudzy zaciągają pasy". To wszystko prawda, przy tym aktualna, lecz aforyzmu jeszcze nie czyni.

Marek S. Olsztyn. Najtrudniej powiedzieć coś o wierszach poprawnych i tylko poprawnych. Pana utwory są proweniencji wyraźnie poróżewiczowskiej, zmanierowanej:

i
ze słów
można
wykrzesać
płomień
od którego
zapali się
twoje
ja

Za wiersz płaci się często „od linijki". Byłoby rażącą niesprawiedliwością zapłacić Panu za „i" czy „ja" tyle samo, co np. Waldemarowi Michalskiemu za linijkę wiersza „Romans z gotykiem"

„płynie białe nokturno — kamień w
mazowieckie łąki"

Czesław L. Lublin; J. J. Lublin; „Ina z Zamojskiego", K. P. Sanok, Konrad K. Lublin, Alina G. Lublin, Henryk C. Krasnystaw, Wanda O. Katowice, Jerzy Ch. Lublin, Bolesław M. Piaski, Andrzej M. Zamość — nie skorzystamy.

H. P.

Konsumpcja na wsi

Dokończenie ze str. 1

przypadku zapisy prowadzą tylko gospodarstwa chłopskie. Ponieważ badaniami GUS objęte są wszystkie grupy społeczno-zawodowe, stąd do porównań wygodniejsze są dane z tego źródła. Na marginesie warto dodać, że poziom spożycia żywności, według danych budżetów gospodarstw domowych, jest znacznie niższy niż spożycie średniokrajowe ustalane tzw. metodą bilansową. Z tego też względu dane budżetowe należy uznać za bardziej wiarygodne, a jeżeli są zniekształcenia, to wynikają one ze zbyt małej liczby zbadanych gospodarstw czysto rolniczych i dwuzawodowych. Prawidłowo przeprowadzona analiza powinna obejmować dane z kilku lat. Ponieważ w tym miejscu pragnę jedynie wskazać na najistotniejsze problemy zróżnicowań spożycia, do tego celu wystarczą dane z jednego (1979) roku. Gospodarstwa indywidualne podzielone są przy tym na dwie grupy: pierwsza to gospodarstwa czysto rolnicze, zaś druga — tzw. dwuzawodowe.

Syntetycznym wyrazem osiągniętego poziomu konsumpcji jest wartość rozchodów na spożycie w przeliczeniu na jednego członka rodziny. Pod tym względem gospodarstwa czysto rolnicze, wydając w 1979 r. 31 988 zł w przeliczeniu na osobę, zajmowały drugą pozycję po gospodarstwach pracowniczych (36 076 zł), ale wyprzedzały nieco gospodarstwa emerytów i rencistów (30 423 zł). Najniższy ogólny poziom wydatków na konsumpcję występował w rodzinach robotniczo-chłopskich — 28 956 zł. Rodziny chłopskie konsumowały o 11%, a dwuzawodowe o 20% mniej niż rodziny pracownicze.

Zróżnicowaniu ogólnej sumy rozchodów na konsumpcję towarzyszą niejednakowe rozpiętości wydatków na poszczególne grupy dóbr i usług konsumpcyjnych. Najmniejsze rozpiętości występują w wydatkach na alkohol — rodziny dwuzawodowe, mimo znacznie niższych niż w innych grupach dochodów i konsumpcji, wydawały na tę grupę produktów najwięcej, bo 1115 zł na osobę przy 1113 zł w rodzinach pracowniczych, 1077 zł — w czysto rolniczych i 842 zł — emerytów i rencistów. Zjawisko to musi być ocenione negatywnie z uwagi na jego długookresowe, ujemne konsekwencje ekonomiczne i społeczne (zdrowotne i kulturowe). Wymowa tych liczb jest donioślejsza zwłaszcza w zestawieniu z wydatkami na higienę i ochronę zdrowia. W rodzinach rolniczych na alkohol wydawano prawie dwukrotnie więcej niż na higienę — 644 zł w rodzinach dwuzawodowych, w czysto rolniczych 678 zł (przy 1250 zł w rodzinach pracowniczych i 1373 zł u emerytów i rencistów).

Drugą po alkoholu grupą produktów o relatywnie najmniejszych różnicach międzygrupowych jest żywność. W rodzinach czysto rolniczych jej wartość (łącznie z samozaopatrzeniem) wynosiła 12 182 zł i była mniejsza o 6,4% w porównaniu z rodzinami pracowniczymi i o 16,5% mniejsza w porównaniu z emerytami i rencistami. Rodziny dwuzawodowe konsumowały najmniej żywności, a różnica w stosunku do porównywalnych grup wynosiła 13% i 33%.

Największe rozpiętości międzygrupowe, sięgające prawie 50% na niekorzyść obu grup rodzin rolniczych, występują w przypadku wspomnianych już wydatków na higienę i ochronę zdrowia oraz kulturę, rozrywkę i sport. Na ten ostatni agregat dóbr i usług rodziny czysto rolnicze wydały w 1979 r. 1252 zł, a dwuzawodowe — 1532 zł, czyli o 46% i 58% mniej niż rodziny pracownicze (było to także mniej w relacji do grupy emerytów i rencistów).

Konsekwencją zróżnicowania rozchodów są różne rozmiary spożycia dóbr żywnościowych ujmowanych w jednostkach fizycznych. Porównując dane liczbowe, można bardzo ogólnie powiedzieć, że rodziny czysto rolnicze mają poziom zbliżony do rodzin pracowniczych przy istotnych różnicach strukturalnych. Identyczna uwaga odnosi się do gospodarstw dwuzawodowych przy większych jednak rozpiętościach w wielkościach absolutnych. Rodziny rolnicze obu typów spożywały (łącznie z samozaopatrzeniem) więcej niż rodziny pracownicze takich produktów, jak: mąka (o 120% chłopi i o 92% dwuzawodowcy), pieczywo (odpowiednio o 6% i 13%), ziemniaki (5% i 20%), słonina i smalec (o 100% i 50%), mleko (50% i 28%), sery oraz jaja. Równocześnie rodziny te spożywały mniej produktów pozostałych grup, takich jak: owoce i ich przetwory (kolejno o 17% i 19%), mięso i jego przetwory (o 3% i 15%), ryby (o 17% i 33%) oraz masło (w obu grupach o 30%).

Na podstawie tych danych można powiedzieć, że rodziny rolnicze spożywają w porównaniu z pracowniczymi więcej produktów jakościowo gorszych, typowo objętościowych, a mniej produktów szlachetniejszych. Szczególnie niekorzystnym zjawiskiem są duże różnice w spożyciu owoców, nie kompensowane dostatecznie wyższym spożyciem warzyw, zwłaszcza świeżych. Spożycie obu tych grup produktów wpływa istotnie na prawidłowy rozwój fizyczny i umysłowy dzieci i młodzieży. Odpowiednia ilość witamin i soli mineralnych niezbędna jest też — jak wiadomo — do prawidłowego funkcjonowania organizmów ludzi dorosłych.

Spożycie żywności w rodzinach rolniczych charakteryzują jeszcze inne niekorzystne zjawiska, związane z wysokim udziałem samozaopatrzenia, które stanowi obecnie ponad 50% spożywanej żywności, a jest wymuszane przez sytuację rynkową, szczególnie silnie odbijającą się na zaopatrzeniu wiejskich sklepów spożywczych. Konsumpcję żywności charakteryzuje na wsi znacznie większa sezonowość, co w konsekwencji prowadzi do negatywnych skutków żywieniowych.

Kolejnym kryterium oceny zróżnicowania poziomu konsumpcji w rodzinach poszczególnych typów może być ich wyposażenie w tzw. trwałe dobra konsumpcyjne. W przeliczeniu na 100 gospodarstw domowych w rodzinach pracowniczych było 104 telewizory, w tym 8 kolorowych, podczas gdy w rodzinach czysto rolniczych odpowiednio — 82 i 2, a w dwuzawodowych — 97 i 3. Wyposażenie w pralki na wsi było również gorsze niż gdzie indziej. Na 100 rodzin pracowniczych przypadało bowiem 103 pralki, w tym 15 było automatycznych, natomiast rolnicy mieli ich 92 i 2, a dwuzawodowcy — 101 i 4. Szczególną rolę w każdym gospodarstwie domowym spełniają lodówki. Potrzebne są one zwłaszcza na wsi (chociaż w chwili obecnej dotyczy to również miast), gdzie duża odległość od sklepów nie pozwala na tak częste jak w mieście zakupy. Wyposażenie w ten środek trwały rodzin wiejskich jest znacznie gorsze niż w przypadku telewizorów czy pralek. O ile bowiem na 100 gospodarstw pracowniczych przypadały 94 lodówki, to w rodzinach chłopskich 59 i dwuzawodowych — 72. Podobne różnice występują odnośnie stanu posiadania samochodów — wskaźnik wynosi w kolejności rodzin jak wyżej: 19, 11 i 10 sztuk na 100 gospodarstw domowych. Jedynymi środkami trwałymi, których na wsi jest więcej niż w mieście, są motocykle, rowery i maszyny do szycia.

Porównanie spożycia żywności i wyposażenia w dobra trwałego użytku nasuwa jedno spostrzeżenie dotyczące zróżnicowania wewnątrz gospodarstw indywidualnych. Z przytoczonych liczb wynika, że rodziny robotniko-chłopów mają lepsze wyposażenie mieszkań niż rodziny czysto rolnicze (wydatki pieniężne na mieszkanie też są u nich większe), ale odbywa się to kosztem znacznie obniżonego poziomu spożycia żywności.

Przedstawione dane ani ich komentarz nie wyczerpują całości problematyki zróżnicowań poziomu konsumpcji. Powszechnie wiadomym jest zmienianie się skali rozpiętości w poszczególnych latach, przy czym generalną, pozytywną tendencją jest zmniejszanie się różnic. Nie wyklucza to jednak przypadków odwrotnych. Inny problem to występowanie odmiennych stopni rozpiętości w poziomie konsumpcji między grupami społeczno-zawodowymi w poszczególnych regionach kraju. Znane mi wyniki badań różnych autorów nie stwierdzają zacierania się różnic przestrzennych. Danych przytoczonych w tekście nie można ponadto odnosić do całej zbiorowości gospodarstw rolniczych, zresztą z dwóch względów: po pierwsze — z uwagi na stosunkowo małą liczbę badanych jednostek (w 1979 r. zapisy prowadziło 1065 gospodarstw czysto rolniczych i 1028 dwuzawodowych przy ponad 5 000 pracowniczych); po drugie — gospodarstwa, które podejmują się żmudnego notowania wszystkich zdarzeń zachodzących w ich budżecie, są z reguły lepsze od przeciętnych pod wieloma względami. Dlatego rzeczywiste wielkości dochodów, wydatków czy spożycia odchylają się w znacznej części gospodarstw in minus w stosunku do rejestrowanych przez badane gospodarstwa. Należy też dodać, że dane o spożyciu w rodzinach chłopskich, badanych przez Instytut Ekonomiki Rolnej, są nieraz znacznie niższe (szczególnie dotyczy to mięsa i jego przetworów) od danych pochodzących z gospodarstw objętych badaniami GUS-u.

Oceniając pozytywnie zmniejszanie się rozpiętości w poziomie konsumpcji między różnymi grupami społeczno-zawodowymi, należy pamiętać, że tak jak wyżej ujęte grupy nie są wewnętrznie jednolite. Wśród gospodarstw czysto rolniczych istnieją rodziny użytkujące gospodarstwa małe i średnie, a także duże obszarowo, co nie może być obojętne dla poziomu dochodów i konsumpcji. Jeszcze bardziej zróżnicowana jest grupa gospodarstw pracowniczych. Są w niej i rodziny urzędnicze, i robotnicze, górnicy, lekarze, robotnicy niewykwalifikowani itp. Oceniając poziom spożycia na wsi na tle innych grup, należałoby więc dokonać szczegółowej ich dezagregacji. Danymi takimi nie dysponuję. Zaprezentowane w tym tekście dane wskazują jednak na fakt, że poziom konsumpcji na wsi, czy też — w szerszym ujęciu — poziom dobrobytu, nie jest tak wysoki, jak się wielu osobom w naszym kraju wydaje.

Maria Świętochowska

WOJEWÓDZKI KLUB KONSUMENTÓW

ROSNĄ szeregi członków Klubu. W czerwcu na przykład nadeszło 15 zgłoszeń z lubelskiego Biura Badawczego d/s Jakości Stowarzyszenia Elektryków Polskich. W tej chwili w Klubie jest nas już około setki. W lipcu lub sierpniu Federacja Konsumentów zostanie prawdopodobnie zarejestrowana, a jesienią odbędzie się zjazd założycielski w Warszawie. Po tym zjeździe przyjdzie kolej na uporządkowanie spraw organizacyjnych naszego Klubu, który jest agendą Federacji.

• • •

Tymczasem członkowie WKK nie próżnują. Bardzo interesujące uwagi nadesłał główny specjalista Działu Kontroli Jakości Towarów WPHW Lublin, p. Czesław Kuczyński, który takie m. in. widzi warunki umocnienia pozycji konsumenta na rynku:

— *trzeba uniezależnić od handlu służby odbioru jakościowego, które w obecnej sytuacji zaopatrzeniowo-rynkowej nie mają żadnej możliwości oddziaływania na poprawę jakości towarów;*

— *wysokość kar z tytułu dostaw towarów wadliwych ustalić tak, by rzutowały one na wyniki ekonomiczne przedsiębiorstw, przy czym winny one być egzekwowane obligatoryjnie;*

— *zlikwidować pośrednictwo handlu w załatwianiu reklamacji nabywców, gdyż dotychczas handel jest wygodną i skuteczną tarczą chroniącą interesy producentów;*

— *przekazać naprawy i usuwanie usterek w okresie gwarancyjnym i z tytułu rękojmi serwisowi producenta.*

Do tych kwestii będziemy musieli jeszcze nieraz powracać na ogólniejszej płaszczyźnie. Natomiast jeśli idzie o lubelskie podwórko, to spotkanie Klubu z handlowcami naszego miasta planujemy zorganizować zaraz po okresie wakacyjno-urlopowym.

• • •

Zastępca kierownika Wydziału Gospodarki Terenowej i Ochrony Środowiska Urzędu Miejskiego w Lublinie, p. Robert Pawłowski, poinformował nas o dość dawno już załatwionej sprawie tymczasowych ogródków działkowych na terenach przyszłego parku „Rury". Ponieważ pismo mówi także o pewnych perspektywach, warto upowszechnić jego fragment:

W ramach realizacji I etapu parku „Rury" w latach 1978—80 założono w rejonie osiedli Prusa i Konopnickiej trawniki o powierzchni około 32 ha oraz częściowo posadzono drzewa, a także rozpoczęto roboty przy budowie alejek. Roboty te są kontynuowane.

W wyniku dokonanych przeglądów nieużytków w tym rejonie podjęte zostały w kwietniu i maju br. decyzje o przeznaczeniu na czasowe ogrody działkowe gruntów o powierzchni około 16,5 ha. Z powierzchni tej 11 ha terenów w rejonie osiedli Sienkiewicza i Konopnickiej zostało już zagospodarowanych pod czasowe ogrody działkowe.

W najbliższym czasie będzie urządzony następny czasowy ogród o powierzchni około 5,5 ha na terenie pomiędzy osiedlami „Skarpa" i „Ruta" w dzielnicy Czuby.

• • •

Kwiatek z oślej łączki producentów — waga zabawka, dwuszalkowa, z odważnikami (symbol SWN 2822, cena 80 zł), dzieło Spółdzielni Rzemieślniczej Wielobranżowej „Rembertów" (04-404 Warszawa, ul. Republikańska 24). „Zabawkę" nabyła dla swej pociechy p. Anna C. z Lublina, a następnie przyniosła do naszej redakcji, abyśmy się przekonali naocznie, iż waga owa za lada dotknięciem rozsypuje się na tzw. czynniki pierwsze, których jest wiele (vide zdjęcie), natomiast złożyć ją bardzo trudno. Ktoś musiał długo myśleć, aby wydumać taką perfidną zabawkę. Tylko po co?

M P

Fot. W. Stępień

Kamena str. 11

OKOLICE SZTUKI

Gorzki dyptyk

NA TEGOROCZNEJ, trzeciej z kolei „Sztuce Faktu" w Bydgoszczy pokazano malarstwo, rysunki, fotografie reportażowe, grafiki, rzeźby, environment, plakaty, ulotki, które powstały w latach 1970—1980; w pojedynczych przypadkach nieco wcześniej, czego przykładem linoryty Leszka Sobockiego z cyklu „Znaki ostrzegawcze" lub „Normalizator" Jerzego Beresia, nie mówiąc już o bardzo specyficznych pracach Ewarysta Zamela. Rygorystycznie natomiast potraktowano górną granicę chronologiczną pokazu w BWA, w zasadzie dopuszczając do ekspozycji tylko realizacje sprzed września minionego roku, albowiem w przekonaniu organizatorów to wszystko, co stało się w kraju po tej dacie, zainicjowało nową sytuację w świadomości zbiorowej, a więc i w sztuce samej. Trudno kwestionować takie założenie.

Gdyby nie pewien „drobiazg" metodologiczny, wystawę bydgoską można by potraktować jako moralne alibi polskich środowisk artystycznych, utrzymane w poetyce sprawozdania z działalności suwerennej wobec państwa, które nad smutną prawdę o rzeczywistości przedkładało dekoracyjną fikcję. Świadczą o tym treści eksponowanych prac, które w sposób bezpośredni, symboliczny lub metaforyczny komentowały krytycznie polską codzienność lat minionych. Przykładem pierwszym z brzegu „Namiot" Marii Pinińskiej-Bereś z 1973 roku, zaopatrzony w taki zachęcający napis: „Jeżeli tłumisz głos zbyt długo, jeżeli Ci źle, wejdź do namiotu i krzycz!", znane rzeźby Zbyluta Grzywacza: „Ustawiony", „Przekaźnik" czy „Zmięty", unaoczniające głęboką destrukcję psycho-etyczną oficjalnych, spersonifikowanych instytucji życia publicznego, a także obrazy Witolda Chmielewskiego i Jerzego Puciaty („Bez komentarza", czyli kultura polska jako śmietnik) oraz wyjątkowo sugestywne environment Andrzeja Nowackiego, zbudowane z „tłumu" mężczyzn biegnących do linii mety, która okazuje się w istocie nieosiągalna...

To alibi nabiera przecież specjalnego sensu w pewnym kontekście, świadomie wprowadzonym przez komisarzy wystawy. Mam na uwadze wielce efektowne plakaty o treściach reklamowych, społecznych i politycznych — niemal wszystkie, jeśli się nie mylę, wydane przez KAW i rozwieszone w sali wystawowej obok wspomnianych obrazów czy dramatycznie uczciwych reportaży fotograficznych. Gdyby wierzyć owym kolorowym płachtom, drukowanym w wielu tysiącach egzemplarzy, jeszcze w drugiej połowie lat siedemdziesiątych, nawet u ich schyłku, Polska była krajem obfitości wszelakich dóbr materialnych i zgody narodowej, krajem wspaniałej młodzieży i harmonijnych familii, które w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku obywatelskiego chętnie pozowały do fotografii w towarzystwie potomstwa, medali oraz piesków.

Gorzkie refleksje wzbudzają te fałszywe „obrazki z życia", wywieszone obok ulotek „Solidarności", „Cukrowego tryptyku" (z wlepionymi bonami) Leonarda Pyszkowskiego, zdjęć socjologicznych Zofii Rydet, czy reportażu fotograficznego Krzysztofa Pawela „Rzeźnia", w którym oprócz trupów końskich spostrzegamy napis, skierowany do utrudzonej załogi przez specjalistów od zakładowej polityki społecznej: „Dzień dobry! Życzymy wydajnej pracy".

Istota sprawy tkwi przecież w czymś innym, nie wyczerpuje się w dramatycznej konfrontacji tego, co oficjalne i mylące, z tym, co indywidualne i uczciwe w oglądzie rzeczywistości. Zwróćmy uwagę: oba te nurty sygnowane są nazwiskami ludzi z tego samego środowiska artystycznego, zapewne z tego samego związku twórczego. Zresztą w Bydgoszczy pokazano też kilka obrazów malarskich, które swoją stylistyką i ogólnym sensem całkowicie zgadzały się z treścią wspomnianych plakatów.

Wystawa bydgoska jeszcze raz potwierdziła, że między moralnością a sztuką nie można stawiać znaku równości. Zapewne, jest to prawda nie nowa, ale warta naszej ciągłej pamięci.

„Sztuka Faktu 1970—1980" obejmowała cały blok różnych imprez, ale właśnie wystawa w BWA wydała mi się najbardziej instruktywna, godna uwagi i przemyśleń — chyba ze względu na czas, w którym żyjemy.

IJK

EKRAN I WIDZ

Polansky

Dwadzieścia lat Roman Polański spędził na filmowych gościńcach wiodących z Paryża przez Londyn, aż do Hollywood i z powrotem. W czasie tym rosła jego sława i kształtowała się jego legenda, kolejnym osiągnięciom filmowym towarzyszyły kolejne skandale, niekoniecznie powstałe z winy samego reżysera. Wyrósł szybko i jakby bez wysiłku na jeden z filarów współczesnego kina światowego. Już pierwszy film, krótki metraż „Dwaj ludzie z szafą", nakręcony w Polsce w 1958 r. przyniósł mu międzynarodowy rozgłos, później tych sukcesów przybywało i przybywało, aż po ostatni, „Tess" z Nastassją Kinsky w roli głównej, obsypany Oscarami. Polański dla międzynarodowej widowni stał się szokującym, agresywnym, drażniącym swą niezwykłą osobowością Polansky'm — niezwykłym twórcą zarówno dla intelektualistów jak i zwykłych widzów, intrygującym równie mocno nonkonformistyczną młodzież co i uładzonych z życiem przedstawicieli establishmentu. Zyskał wszystko to, o czym marzy kandydat na reżysera: przebił się w wielki świat, dostąpił aktu konsekracji w świątyni Hollywoodu, został wpisany dużymi literami do księgi pamiątkowej sztuki filmowej. Po tych dwudziestu latach Polański zaczął nagle przyjeżdżać coraz częściej do kraju. Spotyka się ze starymi znajomymi, udziela wywiadów, reżyseruje w teatrze.

Czego szuka, co go intryguje, skąd ów powrót do krajobrazu, do środowiska z którego się wywodzi? Padają już pierwsze podejrzliwe konstatacje typu: „Polański się kończy". (No więc, zrozumiałe, że chce nas tutaj w kraju jeszcze zaepatować resztką swojego talentu...) Polański replikuje z gniewem: „O mnie wciąż się mówi, że ja się kończę. Jak startowałem dwadzieścia lat temu, mówili: „Polański się skończył", potem „kończyłem się" jeszcze kilka razy, teraz — znowu... Ja muszę być bardzo długi, że wciąż się tak kończę i kończę, i skończyć nie mogę".

W jednym z czerwcowych programów telewizyjnego „Studio-2" Roman Polański spotkał się z dawnymi kolegami ze szkoły filmowej i także z tymi osobami, z którymi kiedyś ściśle współpracował na polskich planach filmowych: Henrykiem Klubą, Andrzejem Kostenko, Januszem Morgensternem, Tadeuszem Łomnickiem, Zygmuntem Malanowiczem, Andrzejem Wajdą. Był też Bolesław Michałek, w połowie lat pięćdziesiątych młody krytyk filmowy. Wracając do tamtego okresu, do początków swej kariery, Polański zauważył: „Cieszyła nas wtedy sama praca nad filmem więcej niż cokolwiek innego. Nie — pieniądze, nie — sława, która miała ewentualnie nadejść. Ale praca. Kino miało dla nas w sobie magię. A do tego dochodziła jeszcze owa atmosfera roku 1956. I to wszystko dawało nam ten niezwykły napęd"... Może Polański osiągnął taki stopień artystycznego rozwoju, taki stopień samoświadomości i także — znajomości świata, że odczuwa potrzebę konfrontacji, tutaj na miejscu, z sobą samym sprzed ćwierćwiecza? Może chce sprawdzić, co najbardziej istotnego wniosły do jego dojrzałej sztuki tamte lata i tamci ludzie? A może też chce zaciągnąć się głęboko atmosferą Polski dzisiejszej, nie: popaździernikowej lecz — posierpniowej, może tutaj właśnie szuka rozpędu do postawienia następnego filmowego kroku?

Polański uważany był zawsze za „dziecko szczęścia": jeździł po świecie, sypały się na niego nagrody, zarabiał duże pieniądze. Ale jakbyśmy zarazem nie pamiętali, że kiedyś zamordowano mu żonę, że w szereg lat potem amerykański prokurator z wyjątkowym uporem usiłował wtrącić go do więzienia, że Polański musiał uciekać do Francji. I że w tej samej Francji, przed dwudziestu laty, nachodziły go momenty desperacji, gdy siedział w Paryżu bez grosza, marząc o realizacji scenariuszy, którymi nikt się nie chciał zainteresować. Dopiero „Wstręt" i „Matnia" podbudowały jego pozycję; dopiero „Rosemary's Baby" pozwolił mu stanąć pewnie na rynku amerykańskim. Dziś Polański siedzi przed kamerami polskiej telewizji i mówi: „Ja zawsze miałem twardą naturę, teraz ona może słabnie, ale wierzyłem mocno w to światełko rysujące się przede mną na końcu tunelu"... Wydaje się jakby rozluźniony, jakby trochę rozrzewniony, bardziej otwarty zupełnie inny od tego, jakim go dotychczas widzieliśmy, czy też: jaki się nam jawił na podstawie swoich filmów. A może taki właśnie stał się dopiero teraz?

M. D.

z notatnika

Dokończenie ze str. 3

jako działania wyłącznie amatorskiego".

To też jest wskazówka dla naszych delegatów na Zjazd, ale wskazówką zasadniczą będzie dla nich przyjęte po tak burzliwej dyskusji stanowisko Konferencji w sprawie węzłowych zagadnień na Zjazd.

Kończę, ale zanim to uczynię muszę, gwoli poszerzenia optyki stwierdzić, że poza wymienionymi już przeze mnie osobami odpadli w wyborach do władz lubelskiej organizacji partyjnej towarzysze: Ziemowit Jacek Pietraś (do plenum KW), Andrzej Lech Zachariasz (do Wojewódzkiej Komisji Rewizyjnej) i Janusz Mazurek (do Wojewódzkiej Komisji Kontroli Partyjnej). Ten ostatni nie „załapał się" również na delegata (na IX Nadzwyczajny). Odpadli przedstawiciele środowiska naukowego UMCS. Dlaczego tak się stało? Opinie będą zapewne różne, znajdują się i tacy, którzy mówią o manipulacji, o nastrojach antyinteligenckich (nastroje antyinteligenckie wśród delegatów, których zdecydowana większość do inteligencji się zalicza?). A może rzecz w tym, że większości nie podoba się, gdy pewne poglądy przybierają zbyt skrajny charakter? A może po prostu kreśli się co bardziej znane nazwiska? Nie potrafię udzielić zdecydowanej odpowiedzi, choć sam temat wart jest zastanowienia.

Tow. Z. J. Pietraś, wybrany na UMCS-ie delegatem na Zjazd, otrzymuje w wyborach do KW PZPR 126 głosów. Tow. Pietraś wstąpił do partii w 1968 roku, w tym samym roku wstąpił też do partii tow. Gabriel Sekuła, szlifierz z Fabryki Łożysk Tocznych w Kraśniku. Pierwszy spośród nich — jak się rzekło — zdobywa 126 głosów, drugi — 270. Pierwszy najmniej, drugi najwięcej!

Godzina trzecia. Jest jeszcze czas, aby ten tekst przeczytać, ale wpierw wypiję kawę. Jaką kawę? Herbatę!

M. A. Jaworski

P.S. Przeczytałem. Gdyby nie Sierpień '80 inna byłaby i Konferencja i inna byłaby moja relacja. Proszę i o tym pamiętać.

II P.S. Personel techniczny KW pracował w trakcie Konferencji niezmordowanie. Maszynistki pisały bez przerwy. Nie jest to taki młód, jak niektórzy sądzą...

KRONIKA

● Lech Wałęsa o niezależnym ruchu studenckim podczas mitingu na stadionie „Lublinianki": — Jesteśmy za tym ruchem, ale przede wszystkim niech się młodzi ludzie wszystkiego uczą, abyśmy nie potrzebowali przeciwko nim strajkować, gdy zostaną dyrektorami.

● Posiadacze kont dewizowych w lubelskim Banku PKO S.A. masowo oblegają placówkę, pobierając pieniądze, które — można przypuszczać — wolą przechowywać w domu. Dzieje się tak w całym kraju, choć działalność banku nie uzasadnia owej „hossy". Jedyny realny powód sytuacji to utrzymujący się kryzys zaufania do instytucji państwowych.

● Franciszek Borowiecki zmarł w 1962 roku, ale wielu lublinian pamięta zapewne dobrze postać tego wybitnego lutnika i jego sklep przy ul. Królewskiej, który swoją atmosferą przypominał najlepsze czasy polskiego rzemiosła. Podziękować zatem należy Filharmonii Lubelskiej za wystawę instrumentów, afiszów, dyplomów i innych pamiątek po F. Borowieckim, urządzoną w czerwcu w gmachu przy ul. Osterwy.

● Planowano 92 tysiące w roku bieżącym, będzie chyba 85 tys., realne potrzeby rynku wynoszą 120—130 tys. motocykli z WSK Świdnik. Fabryka narzeka na brak aluminium, szczególnie potrzebnego do montażu nowoczesnego modelu „Kos" informując przy okazji, że cena handlowa jednego motocykla jest o 25 proc. niższa od faktycznych kosztów jego produkcji.

● Zespół Pieśni i Tańca Akademii Rolniczej w Lublinie zajął II miejsce — lepsi okazali się tylko Bułgarzy — na międzynarodowym festiwalu folklorystycznym w Turcji urządzonym w ramach obchodów 100-lecia urodzin Ataturka. Oprócz stosownego medalu studenci otrzymali zaproszenie do udziału w Światowym Festiwalu Folklorystycznym, który odbędzie się w lipcu w Tunisie. Natomiast na naszym terenie występował (w kilku miastach regionu) zespół folklorystyczny ze Skopje, z oczywistych względów podejmowany bardzo serdecznie.

● W 1977 r. Pracownia Konserwacji Dzieł Sztuki w Jarosławiu (rzeszowski oddział PKZ) podjęła się restauracji wyjątkowo cennego ołtarza w kościele w Tarnogrodzie, oczekując za robotę 1.688 tys. zł. A teraz, po dwuletnim przekroczeniu uzgodnionego terminu zakończenia prac, przedsiębiorstwo domaga się 4,5 mln zł — mimo że konserwacja obiektu nie osiągnęła nawet półmetka. Ministerstwo Kultury i Sztuki zna sprawę, ale nie interweniuje.

Pismo Lubelskiego Oddziału Związku Literatów Polskich. Założyciele Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski.

Redaguje zespół: Maria Bechczyc-Rudnicka, Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Zygmunt Mankowski, Maciej Podgórski (sekretarz redakcji), członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Anna Borian, Mirosław Derecki, Tadeusz Jasiński, Ireneusz J. Kamiński (kierownik działu publicystycznego), Henryk Pająk (kierownik działu literackiego), Waldemar Stępień (fotoreporter). Redaktor techniczny — Ewa Dybek, korektor — Marianna Obloza.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty. W sprawach literackich przyjmuje interesantów kierownik działu w poniedziałki w godz. 10—12 i piątki w godz. 14—15.

Wydawca Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza RSW „Prasa — Książka — Ruch" Lubelskie Wydawnictwo Prasowe w Lublinie ul. Jasna 6 tel. 255-30.

Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN w Lublinie ul. Unicka 4. PL ISSN 0137-7108. Nr indeksu 36251. Adres redakcji: 20-029 Lublin, ul. Skłodowskiej 2/1.

Telefony: sekretariat redaktor naczelny 255-93, sekretarz redakcji 218-93, dział publicystyki i literacki 275-35.

Korespondencje zwykle prosimy kierować pod adresem: 20-950 Lublin 1, skrytka pocztowa 231; polecone i ekspresowe — pod adresem redakcji.

N-7.